

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 22 lipca 1905 r. Nr. 30.

Zamordowanie gradonaczalnika Moskwy hr. Szuwałowa.

(Do artykułu na stronie 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku.



Echa rewolucyi w Odessie: Walka tłumów z wojskiem zapomocą bomb na ulicach Odessy.

Zamordowanie gradonaczalnika Moskwy hr. Szuwałowa.

(Do illustracyi tytułowej).

Zamordowanie gradonaczalnika Moskwy hr. Piotra Szuwałowa wywarło wszędzie piorunujące wrażenie. Nie jest jednak tak wielką niespodzianką, bo Szuwałowowi odgrażano się nieraz. Wieść o jego śmierci z elektryzowała jednak Moskwę w jednej chwili, bo Szuwałow zginął od kul mordercy prawie bezpośrednio po własnych słowach: „Na razie nic nie grozi, nic nie zakłóca spokoju w Moskwie“.

Fakt zamordowania gradonaczalnika nastąpił niebawem po zakazie zebrania się ziemstw, jaki wydał Szuwałow, największy przeciwnik kroków antirządowych, na parę dni przed śmiercią. Nie przeceniając znaczenia jego upadku, musimy bez wątpienia na jedno się zgodzić: Śmierć Szuwałowa jest ważnym krokiem naprzód, jest niejako nowym zwiastunem wolności, która już wkrótce nad narodem rosyjskim zabłyśnie. Zamordowanie Szuwałowa jest krwawym odwetem, strasznym a nowym protestem przeciwko ciemięzcy, zwiastunem użycia nowych okropniejszych jeszcze środków, jeżeli wymagań ludu rząd nie zaspokoi. O śmierci gradonaczalnika hr. Szuwałowa wciąż nowe nadchodzą wieści. Morderstwa dokonał nieznany jakiś człowiek, z wyglądu robotnik, w rzeczywistości nauczyciel Kułakowski, który przybył rzekomo w celu posłuchania do pałacu naczelnika na bulwarze Twerskim. Na zapytania ciekawych, odpowiadał, że musi się widzieć z gradonaczalnikiem osobiście w jakiejś ważnej sprawie. Skoro przyszła kolej na niego, dał pięć strzałów do gradonaczalnika, kładąc go trupem na miejscu.

Wśród reszty petentów zapanowało straszne przerażenie. Jedni rzucili się na mordercę, lżąc go słownie i czynnie, drudzy pospieszyli z pomocą hr. Szuwałowi. Morderca zbity okropnie dostał się wreszcie w ręce policyi, której interwencya obroniła go przed nielitosnemi pięściami rozjuszonego a przerażonego motłochu. Morderca zachowywał się początkowo jak obłąkany — zdawał się nie wiedzieć, gdzie się znajduje i co zrobił. Równocześnie z nim aresztowano jednego z mieszczan Moskwy.

Hr. Szuwałow, jeden z najbardziej zaufanych doradców cara, był synem byłego ambasadora w Berlinie, potem warszawskiego generał-gubernatora.

Pozostając w korpusie paziów, żył w nader bliskich stosunkach z rodziną cara i pozostawał pod wyłącznem kierownictwem zamordowanego w. ks. Sergiusza. Pracował usilnie w kierunku skrajnoreakcyjnym, toteż wkrótce mianowano go fligeladjutantem, a niedługo potem naczelnym marszałkiem wielkoksiążęcego dworu. Po zamianowaniu w. księcia Sergiusza generał-gubernatorem Moskwy, udaje się hr. Szuwałow razem z nim i biorąc wybitny udział we wszystkich niemal reakcyjnych dążnościach i pracach, doprowadza politykę do zupełnej anarchii, do zupełnego rozprzężenia. Po opuszczeniu Moskwy, zostaje gradonaczalnikiem Odessy.

Nie umiejąc zjednać sobie ludu łagodnością, dając mu ciągle uczuć ciężki knut ciemięzcy, wrył się głęboko w pamięci ludu na tym posterunku. Żelazna jego dłoń zbierała obfite owoce podczas rozruchów robotniczych w 1903. Zmuszony wskutek częstych pogróżek opuścić to zaszczytne stanowisko, wstępuje w służbę w ministerstwie spraw wewnętrznych. Po śmierci w. ks. Sergiusza powołany na stanowisko gradonaczalnika Moskwy, powrócił do dawnej pracy. A pole popisu miał wielkie. Rozwiązywanie wielu stowarzyszeń, zaostrzenie cenzury ściągnęło na niego gwałtowną nienawiść. Do strasznego rozgoryczenia przyczynił się ostatecznie zakaz zjazdu ziemstw — czara przepełniła się.

Prawdopodobnie jednak sam fakt zakazu zjazdu nie był jedynym powodem zamordowania Szuwałowa. Jego namiętna, zapełniająca cały jego żywot, walka reakcyjna, walka ze wszystkiem, co wykracza choć trochę przeciwko polityce knuta. to wszystko



Echa rewolucyi w Odessie: Rumuński port Konstanca, gdzie „Potemkin“ poddał się.



Echa rewolucyi w Odessie: W porcie odeskim podczas przybycia floty admirała Kriegera.



Echa rewolucyi w Odessie: Flota czarnomorska w porcie w Sebastopolu.



Echa rewolucyi w Odessie: Port w Odessie: Droga na molo, gdzie było wystawione ciało Omelczuka.

wydało na niego wyrok potępienia. Był on nieodrodnym wychowankiem i uczniem w. ks. Sergiusza, którego żelazne rządy do dziś dnia Moskwa pamięta. Sergiusz zeszedł ze świata rozszarpany bombą, Szuwałow padł od kuli rewolwerowej. Obydwaj ponieśli zasłużoną karę.

Podajemy na pierwszej stronicy obraz zamordowania moskiewskiego satrapy.

Nauczyciel ludowy archeologiem.

Archeologia w znaczeniu obszerniejszem, to badanie i naukowe objaśnianie wszystkiego, co dostało się do rąk naszych drogą wykopalisk. Archeologia dzieli się na najrozmaitsze gałęzie, z których każda przedstawia dla siebie osobny dział. Że archeologia jest rzeczą w nauce bardzo ważną, nad tem nie potrzebujemy się rozwodzić, świadczy o tem wymownie zamiłowanie, z jakiem uczeni oddają się tej żmudnej pracy i korzyści, jakie przynoszą nam badania archeologiczne. Dzięki wykopaliskom poznajemy stopień kultury danego narodu; wykopaliska są jakby rozwartą księgą, w której uczony może czytać przeszłość. Kurhany, uroczyska, horodyszcza u nas w Polsce, dostarczają mnóstwo materyałów i przyczyniają się wielce do rozwoju naszej nauki historyi. Praca około wykopalisk jest ciężką, nie odstrasza to jednak zagorzałych uczonych i cierpliwych badaczy-amatorów.

Do tych ostatnich należy p. Alfred Dworski, nauczyciel ludowy w Rudniku nad Sanem.

P. Alfred Dworski rozpoczął zeszłego roku we wrześniu pracę około wykopalisk w powiecie Niskim. Kopał z niestrudzoną energią rolę orną zwłaszcza w Banii koło Ulanowa, w Kopkach i Przędzlu. Drogą sondowania od 30—45 m. doszedł on do starodawnych cmentarzysk. Cmentarzyska te wskazują na epokę bronzową i początki epoki żelaznej. Ornamentyka tu kreskowa.

Po raz drugi podjął p. Dworski na nowo pracę w kwietniu r. b. Tym razem polem poszukiwania był grunt między Rudnikiem a Stróżą. Praca jego nagrodzoną została w zupełności, bo w poszukiwaniach swych natrafił na masę najrozmaitszych wykopalisk. Okrzeski krzemienne, stanowiące rodzaj broni, groty do strzał, krzemienne igły i toporzyska, siekierki — wszystkie te znalezione przedmioty znamionują epokę kamienną.

Przy pracy około wykopalisk zasłużyli się bardzo miejscowi wieśniacy, których wytrwałość przyczyniła się bardzo do pomyślnego rezultatu badań.

P. Alfred Dworski ukończył studya w Krośnie. Obok muzyki, której oddaje się całą duszą, zajmuje się także archeologią. Godną podziwu jest rzeczą, że młody ten człowiek (p. Dworski liczy dopiero lat 27) znajduje dość czasu, by po męczącej pracy pedagogicznej zająć się archeologicznemi badaniami. P. Dworski myśli dalej prowadzić badania nad wykopaliskami. dlatego też przesyłamy mu w tej żmudnej pracy serdeczne „Szczęść Boże".

W dzisiejszym numerze zamieszczamy fotografię zbioru cennych wykopalisk p. Dworskiego. Wśród wykopalisk widać też postać młodego badacza przeszłości.

Echa rewolucyi w Odessie.

Epopeja „Potemkina", tego jedynego pancernika, który pod socyalistyczną czerwoną flagą pływał po morzu Czarnem, ściągając przez blizko dwa tygodnie uwagę całego świata na siebie, już się, jak wiadomo, skończyła. W poprzednim numerze pisaliśmy, że „Potemkin", zmuszony niedostatkiem żywności i zupełnym brakiem środków lekarskich, jedyny ratunek widział w poddaniu się. I poddał się władzom rumuńskim Z upadkiem „Potemkina" upadła tak wspaniale zaczęta rewolucya wojskowa w Rosyi, gdyż bunty marynarzy w Kronsztadzie i Libawie udało się rządowi łatwo zgnieść.

W Odessie zapanował więc po dwóch tygodniach walki spokój. Miasto całe, port i magazyny zniszczone zupełnie. Ludzie, którzy znali Odessę dawniej, nie mogą jej teraz poznać. Ta miejscowość kąpielowa, wrąca zazwyczaj życiem i zabawą, mieniąca się ruchliwą wielobarwną falą najrozmaitszych narodowości, których bogacze nawykli sobie byli dawać tam letnie *rendez vous*, wygląda dzisiaj, jak cmentarzysko, jak miasto, przez które przewaliła się wojna, zrządziwszy niebywałe szkody.

Wydelegowany przez rząd hr. Ignatiew mający zlecenie stłumić rewolucyę choćby za użyciem najokrutniejszych środków, dokonał swego. Rewolucya ucichła, mnóstwo osób powieszono, kilkaset gnije w więzieniach. Ogólne szkody, zrządzone przez rewolucyę w mieście, wynoszą, według raportu Ignatiewa, okrągłą sumę 50 milionów rubli.

Rewolucya odeska, aczkolwiek Ignatiew zdołał ją stłumić, wywołała jednakże w całem cesarstwie rosyjskiem żywe echo. Niema wprost miasta, niema większej osady fabrycznej, gdzieby potem nie wybuchły rozruchy. Ogółem można powiedzieć, że Rosza stała się podobną do olbrzymiego ogniska, które się tli i tli ciągle, raz wybucha jaśniejszym płomieniem, to znowu przygasa, to znów gorze z podwójną siłą, każąc zawsze spodziewać się, że niedługo rozpłonie całe, ogarnie cały kraj, a wtedy na miejscu dzisiejszego małego ognia, wybuchnie olbrzymi pożar, którego ugasić się już nie da, który przepali, co stare, niezdolne do życia i zgniłe, a z pośród zgliszczy wyłoni się jak feniks z popiołów jasna jutrzenka wolności.

W numerze dzisiejszym podajemy kilka ilustracyj, odnoszących się do krwawych zajść odeskich. Tłómaczą się one same przez się, nie będziemy się więc o nich rozpisywali.



Echa rewolucyi w Odessie: Trup Omelczuka wystawiony na molo portowem w Odessie.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

8 (Ciąg dalszy).

Zapisała podyktowany adres, dała dziewczynie koronę i upewniwszy się jeszcze raz, że przyjdzie w niedzielę, pożegnała ją.

Ta rozmowa z dziewczyną, Bronią, dodała jej otuchy; już nie wątpiła, że zdoła sama utworzyć kółko organizacyi zawodowej, pozyskać zwolenniczki dla partyi, a gdy raz zawiąże się kółko. z konieczności obejmie coraz szersze kręgi i ściągnie robotnice.

Mimo swych wątpliwości i obaw, że w jej pokoju nie będzie zbyt swobodnie robotnicom, poszła do stryjenki, łudząc się nadzieją, iż może oboje stryjostwo wychodzą w niedzielę.

— Chciałabym, stryjenko, zaprosić na niedzielę popołudniu kilka moich znajomych.

— Czy i kolegów? — spytała z ukrytą niechęcią.

— Nie, same dziewczęta.

— Zaproś, i owszem... w niedzielę oczekuję radczyni z córką, ona dosyć nudna, to czas prędzej minie. A z jakiej one sfery?

— Ma przyjść radczyni?... Jeśli tak, to wolę nie zapraszać... to nie jest towarzystwo dla radczyni.

— Czyż twoje znajome są źle wychowane?

— To nie... ale byłyby skrępowane.

— Wiesz co, Oldziu... postaram się, aby radczyni nie zajrzała nawet do twego pokoju, a Miecia, panna w twoim wieku, nie będzie wam przecież przeszkadzała.

— Nie, stryjenko... o czem z taką Miecią mówić? — uśmiechnęła się — o modach, o nowym walcu, o przyszłym karnawale... nie, ani pomyśleć.

— A bójże się Pana Boga! o czemże, wy, młode panny, rozmawiacie ze sobą?

— O nauce... profesorach, wykładach, książkach... o pracowni i t. d.

— No, no, za moich czasów tego nie było, i jak się to zmienia szybko — westchnęła — i czy wam to wystarcza?

— Najzupełniej.

— A jeśli u której serce przemówi?

— Na takie rzeczy — zaśmiała się — nie tracimy czasu i sił... Już idę, stryjenko, mogę się spóźnić...

Jedna z koleżanek ustąpiła jej na czas popołudniowy swego pokoju, i Olga natychmiast dała znać Broni.

Swoją znajomość z robotnicą i usiłowanie stworzenia kółka dla przyszłej organizacyi fachowej, zachowała Olga w głębokiej tajemnicy, nawet swej przyjaciółce, Helenie, nie zwierzyła się, aby nie zepsuć wrażenia, gdy zawiadomi członków „Pochodni“ o rezultatach swej pracy.

Głównie, chociaż sobie nie zdawała z tego jasnej sprawy, zależało jej na Żaleckim. On przecież wie, ile trudu i pracy trzeba, aby zgromadzić i uświadomić robotników, on jeden w całej „Pochodni“ oceni należycie jej trudy.

Znacznie wcześniej przed oznaczoną godziną schadzki, była już w pokoiku koleżanki, przygotowała szklanki do herbaty, bułki i wędliny, aby ugościć oczekiwanych.

Wreszcie wszystko było gotowe, ułożone, część na talerzach, część na papierach, i spojrzała na zegarek, wysadzany drogiemi kamieniami, pamiątka po matce. Za dziesięć minut czwarta, godzina umówiona na schadzkę.

Okno pokoju wychodziło na ciasne, brudne podwórze i nie mogła dojrzeć, kto i kiedy wchodzi do kamienicy. Nasłuchiwała więc z natężoną uwagą każdego hałasu, stukotu, szelestu kroków na schodach.

To naprężone wyczekiwanie zmęczyło ją, usiadła na krześle, obejrzała jeszcze raz przygotowanie do przyjęcia, broszury socyalne w czerwonych okładkach, które miała rozdać robotnicom i przypomniał się jej epizod z życia, gdy siedząc u koleżanki z pensyi, czekały na wiadomość, czy zdołał ujść przed pościgiem policyi jeden z ich przyjaciół politycznych.

Lecz jaka to była inna atmosfera, pełna grozy, prześladowań, więzienia. Każdy nerw drgał oczekiwaniem szczęścia lub katastrofy, jeszcze teraz odczuwa te dreszcze niepokoju i trwogi.

A teraz? A tu? Nie podgląda szpieg, nie czyha żandarm, nie śledzi policya... wszystko spokojnie, legalnie, w porządku, co najwyżej skrzywi się stryjenka, nachmurzy się stryj... i spokój.

Tamte czasy były jednak lepsze, westchnęła z pewnym żalem. Tam była gra i stawka swobody a nawet życia.

Posłyszała wycieranie nóg i jakiś chichot, wstała szybko, otworzyła drzwi i ujrzała trzy dziewczęta, ubrane z pewną pretensyą do elegancyi i mody.

Gdy weszły do pokoju, Bronia, znająca dawniej Olgę, przedstawiła jej swoje koleżanki, Zosię i Kazię, a podanie ręki przez Olgę, było przyjęte z lekkiem niedowierzaniem i wahaniem.

Gdy usiadły i Olga zajęła się nalewaniem herbaty, Bronia, spostrzegłszy większą ilość szklanek, rzekła:

— Chciałam też przyprowadzić Manię, ale ona odmówiła, a byłoby nas więcej.

— Dlaczegóż odmówiła? — spytała Olga.

Zosia zachichotała i trąciła Bronię, szepcząc:

— No, powiedz... tylko prawdę.

— Mania wolała pójść na spacer — tłómaczyła Bronia.

Znów zaśmiały się, dając sobie znaki porozumiewawcze.

— Jeśli woli spacer, to trudno... może przyjdzie innym razem.

— Jak porzuci ją narzeczony — mruknęła Kazia ze złośliwym uśmiechem.

Zaczęły pić herbatę, a do ciastek śmiały im się oczy i na razie wybierały co największe.

— Zdaje mi się — przemówiła Olga — że daleko wygodniej będzie, gdy będziemy mówiły do siebie nie pani, lecz towarzyszko, czy zgadzacie się?...

Spojrzały na siebie porozumiewawczo i po chwili odpowiedziała Zofia, niegdyś ładna, dziś przewiędła blondynka:

— Jeśli pani robi to przyjemność, może pani do nas mówić towarzyszko, ale my wiemy, co się komu należy i zostaniemy przy pani.

Słowa jej potwierdziły obie koleżanki.

— Jesteśmy przecież ludźmi, równymi sobie — tłómaczyła Olga — i różnicę wprowadziły głupie stosunki mieszczańskie, ale one będą zniesione. Proszę was, mówcie mi towarzyszko.

Zofia, najwymowniejsza z nich i najstarsza, bo dochodząca trzydziestki, uśmiechnęła się z lekką ironią:

— Ee, proszę pani, nie my ten świat urządzałyśmy, nie my będziemy go zmieniały... to nie nasze siły, ani nasza głowa. Wszyscy mówią do siebie pan i pani, cóż my gorszego? Wiem, że socyaliści mówią do siebie przez towarzysz ale co innego mężczyźni, a co innego my... i na tę nową modę nie zgadzamy się — i wszystkie trzy zachichotały.

— Jak nie, to nie — westchnęła Olga — przyjdzie czas, że będziemy mówiły sobie tylko towarzyszko... Otóż wiem, jak panie ciężko i długo pracujecie, po dziesięć godzin...

— Wczoraj pracowałyśmy do jedenastej w nocy — przerwała jej Kazia.

— A więc trzynaście godzin i za tę waszą wielką i męczącą pracę nie macie stosownego wynagrodzenia.

— To święta prawda — mruknęły.

— Jeśli za robotę mojej sukni zapłaciłam trzydzieści sześć koron, to wasza przedsiębiorczyni zarobiła bez żadnej pracy bardzo dużo. Naprawdę, to trzy robotnice za dwa dni, potrzebne na wykończenie sukni, wzięły trzy korony; mieszkanie za ten czas liczę koronę; zużycie maszyny i oliwę korona; krajczyni d stała koronę; pracodawczyni za dozór koronę: użyte igły i nici korona; podatek niech będzie korona; to razem moja suknia powinna kosztować dziewięć koron.

— O, tak tanio nikt nie zrobi — zauważyła Bronia z ciastkiem w ręku.

— Zapłaciłam też trzydzieści sześć, zatem dwadzieścia siedm koron schowała dla siebie pracodawczyni. Czy to słuszne?

Dziewczęta milczały, porozumiewając się ze sobą oczyma, wreszcie Zofia rzekła:

— Może to i niesłuszne... ale płaci się też za firmę, za fason, za włożony kapitał — to mówiąc, spoglądała na koleżanki przytakujące.

— Dobrze... przypuśćmy, że dochodzi do mego jeszcze siedm koron, to w każdym razie krawcowa ma zysku dwadzieścia koron.

— Niby to tak — szepnęła Kazia.

— A ten zysk powinien przypaść wam do równego działu, bo zrobiła go wasza praca bardzo licho płatna. Krawcowa was skrzywdziła i ograbiła, a wiecie dlaczego? Ona jest silna, a każda z was pojedynczo wzięta słaba; ona ma warstat a wy nie macie. I jaka na to rada? Może która z was powie?

— Już niech pani mówi — odezwała się Bronia.

— Trzeba, aby pracodawczyniom przeciwstawić siłę, a tę można zdobyć, jeśli połączycie się razem. Jak we wszystkich pracowniach wszystkie zażądają podwyższenia płacy, umniejszenia godzin,

muszą one zgodzić się na to, bo jakimże sposobem wykończą wziętą robotę?

— Byłoby to dobrze i radzono już nam to zrobić — mówiła Zofia z namysłem — tylko, że o zgodę nawet się kusić nie można. Jest pracowni u nas, może pięćdziesiąt, a ze żydowskiemi będzie ze sto, i są różne płace, niższe i wyższe, lepsze i gorsze miejsca... ale gdybyśmy my, fachowe, zastrejkowały, bo o tem pani mówi, to co najmniej dwa razy tyle, co fachowych, jest kobiet zajętych krawcowaniem, które z tych lub innych powodów nie dostały się do pracowni. Te rzuciłyby się hurmem. a my zostajemy bez miejsca, bez chleba. Nie, proszę pani, to nie jest sposób poprawienia naszego losu i z tego nic nie będzie.

— Kto boi się kroku zrobić, ten nie ruszy z miejsca — mówiła Olga z zapałem — trzeba chcieć, pragnąć, dążyć do zmiany. Nic łatwo nie przychodzi na świecie, a zwłaszcza swoboda. Dam wam książeczki. z nich się dowiecie, jak ludzie walczyli z powodzeniem, aby poprawić swój los, aby zmniejszyć dzień pracy. Człowiek powinien tylko ośm godzin pracować, ośm spać, a ośm kształcić się, bawić, czytać.

Wstała i wziąwszy przygotowane broszury, wręczyła je dziewczętom. Przyjęły je z ciekawością, zmięszaną z obawą, odczytały tytuł i spojrzały na Olgę. a widząc ją krzątającą się około herbaty, wzruszyły lekceważąco ramionami, a Zofia stuknęła palcami w czoło z uśmiechem ironicznym.

Rozdawszy szklanki z herbatą, tłómaczyła im Olga znaczenie ośmiogodzinnego dnia roboczego i konieczność świętowania pierwszego maja każdego roku, jako święta robotniczego.

Ściemniało się, zapaliła więc lampę i korzystając z chwili milczenia, zaczęła:

— Zmowa wspólna jest tylko środkiem umniejszającym wyzysk, ale naszym celem powinno być zawładnięcie warstatami pracy, bo i najzdolniejsza robotnica nie zarobi, gdy niema warstatu. A takim warstatem jest pracownia krawcowej. Skoro robotnice posiądy warstaty, wtenczas dopiero każda odbierze zapłatę według słuszności, i nie będzie zyskiwała pracodawczyni, lecz wy.

— Niby to jak pani myśli? — spytała Kazia.

— Każda stała robotnica, wchodząca do pracowni, nie jest płatną miesięcznie czy tygodniowo, ale jest współwłaścicielką tej pracowni i tych warstatów. Każdy zarobek dzieli się na części, stosownie do wyłożonej pracy, a wówczas zniknie wyzysk. Czy zrozumiałyście mnie?

— To znowu tak bardzo nie jest trudne — uśmiechnęła się Zofia — pani radzi zabrać drugiemu a sobie przywłaszczyć... słyszałam ja o tem... To każdy potrafi!

— Ależ co innego jest moja własność, nabyta przez pracę — oburzyła się Olga na takie zrozumienie socyalizmu — a co innego warstat fabryczny, za pomocą którego pracodawca wyzyskuje swoich robotników, n. p. fabryki żelaza, kopalnia węgla...

— Zaraz, proszę pani — powiedziała śmiało Zofia, zachęcana spojrzeniami koleżanek. – Ja nie wiem, jak po fabrykach, ale pewno tak samo, jak u nas w pracowni. Na przykład nasza pani skąpiła sobie, biedowała, męczyła się i składała grosz do grosza, a my wiemy, jak to trudno. Aż i uskładała tyle...

— No, Zosiu... nie ona sama — wtrąciła Kazia ze znaczącem spojrzeniem.

— Wszystko jedno — zwróciła swą ostrą, przywiędłą twarz do Kazi, bawiącej się broszurą otrzymaną — alboż ty wiesz, ile ją upokorzenia i wstydu kosztował ten pan, co jej pomógł? Wracając do rzeczy — spojrzała na Olgę — ona uskładała, on trochę dał, trochę poręczył i założyła pracownię na siebie. Jakiemże prawem mogę żądać od niej, aby ona oddała mi swój zarobek? Czy to ja biedowałam? czy ja składałam? Czy ten pan dla mnie dał swoje pieniądze? No, no, niechajbym ja miała własną maszynę i pracownię, a przyszłaby która i zażądała spółki... powiedziałabym ja jej słowa prawdy.

— Słusznie... Sprawiedliwie... — potwierdziły Kazia i Bronia.

— Nie zrozumiałyście mnie — broniła się Olga — nie idzie o zabranie maszyny czy warstatu, ale o to, aby zysk tej maszyny, przy której pracuję, nie szedł do kieszeni fabrykanta, ale był rozdzielony w równych częściach.

— Ee, proszę pani, to jakaś nieczysta sprawa... my swego nie damy, ale i cudzego nie weźmiemy — mówiła Zofia, wstając, a podniósłszy w górę broszurę otrzymaną, spytała:

— Proszę pani, czy tu i o tych warstatach napisano?

— Nie... to ośmiogodzinny dzień roboczy.

— To i dobrze, bo byłabym tego nie wzięła. Ośm godzin pracy, tak powinno być po sprawiedliwości, ale od cudzego wara.

— Już idziecie? — spytała, widząc, że powstały.

— Alboż nie siedziałyśmy długo? — zaśmiała się Bronia — nie nanudziłyśmy dosyć panią?

— Jeszcze jedno pytanie — z pewnem wahaniem powiedziała Zofia.

— Ależ proszę... słucham...

— Może pani wie, czy to prawda, że socyaliści nie wierzą w Pana Boga, ani w Przenajświętszą Matkę Boską?

Zawahała się Olga na chwilę. Jeśli powie o odrzuceniu religii, zrazi ich; jeśli nie powie, skłamie. I po krótkim namyśle rzekła:

— Socyaliści mówią: niech każdy wierzy w to, co mu każe sumienie, ale nikogo nie zmusza się do wyznawania tej lub owej religii.

— To dobrze... a czy wierzą w Matkę Boską? — spytała znów Kazia.

— Kto ze socyalistów jest katolikiem, ten wierzy... a kto nie, to nie.



— Ee, proszę pani, nie my ten świat urządzałyśmy, nie my będziemy go zmieniały...

— Czyż między socyalistami są i niekatolicy? - zawołała Bronia zdziwiona.

— A są, i żydzi, i luteranie, i prawosławni... wszyscy robotnicy.

— O, to ja nie będę należała do socyalistów — powiedziała z mocą wielką Zofia. — Ja jestem katoliczką, mam wiarę katolicką i z odszczepieńcami nie chcę mieć nic wspólnego. Tam muszą być i farmazony — kończyła tonem grozy.

— Skądże znów — zawołała Olga — socyalistami są robotnicy z naszego narodu i innych, ale każdy naród osobno się rządzi, sam w sobie.

— Jeszczebym zniosła może polskiego socyalistę, ale nie lutra ani Moskala. A i pani socyastką? — spytała Zofia, a wszystkie utkwiły w Olgę ciekawe oczy.

— I ja jestem — powiedziała z pewną dumą.

— A mówiła pani, że socyaliści, to sami robotnicy, a przecież pani nie pracuje.

— Uczę się, aby być pożyteczną...

— No, dziewczęta, chodźmy — powiedziała Zofia.

— Kiedyż się zobaczymy?

Po dość długich targach, zgodziły się przyjść na godzinkę w tygodniu, jako, że wypadało święto.

Gdy Olga wracała do siebie i zastanawiała się nad prowadzoną propagandą, nie mogła się oprzeć smutkowi i rozczarowaniu.

Ta Zofia wygadana, zacięta katoliczka, z miną pani, która raczy odpowiadać na stawiane propozycye, pilnująca, aby nie zgiąć kołnierzyka, nie zmiąć koronki swej sukni, ona nie zechce należeć do socyalistów, chociażby dlatego, aby nie zrównać się z innemi robotnicami.

A Bronia, Kazia, to młode dziewczęta, którym w głowie stroje, muzyka, zabawa, one, zdaje się, nie czują nawet potrzeby poprawienia swego losu, dobrze im tak, jak jest dzisiaj.

Zdaje mi się, myślała z goryczą, że praca tego wieczoru poszła na marne. Inna, możeby była potrafiła poruszyć je, obudzić śpiącą duszę, rozpłomienić do idei, a ona tego nie umiała. ona wogóle nic nie umie...

Żalecki na jej miejscu umiałby na pewno do nich przemówić, on ma zapał, ma siłę przekonywania, on hypnotyzuje wprost słuchaczy swemi stalowo-błękitnemi oczyma, a że jest współczujący, łatwo zagra na strunach uczucia.

Tak, on jest inny, niepospolity człowiek, i chciałaby pracować z nim wspólnie, naaczyć się od niego, jak przemawiać do robotników, porwać ich za sobą.

Po chwilowem zniechęceniu przyszła znów fala odwagi i wiary. Już zaczęła się robota, to dużo, ma trzy znajome robotnice, przyjdą i inne, postara się o to, i napewno znajdzie wśród nich wdzięczniejsze słuchaczki. Zresztą siewacz nie patrzy, gdzie każde poszczególne ziarno pada, on sieje z tą wiarą, że plon będzie. Któż może rzec na pewno, że ziarno rzucone nawet na skałę, nie zejdzie i nie rozkrzewi się bujnie!?

W nadchodzące święto stawiły się w pokoiku studentki, trzy nowe robotnice, wprowadzone przez Kazię. Bronia i Zofia wymówiły się brakiem czasu.

Olga znów je uczęstowała herbatą, ciastkami, przekąskami, które one, jak zauważyła Olga, zbyt pospiesznie i bardzo chętnie zjadły.

Na pytanie, czy Kazia przeczytała daną jej broszurę, dziewczyna, rumieniąc się i kręcąc na krześle, odpowiedziała:

— Tak mało mam czasu, a i lampy szkoda palić wieczorami.

— Zawsze wolną chwilę mogła pani znaleźć — zrobiła uwagę Olga.

— Zofia mówiła mi, że to nudna książka... a ja lubię straszne historye.

— I ja także — potwierdziła jedna z jej koleżanek.

— Ja czytam żywoty świętych — odezwała się inna — takie śliczne cuda, że też teraz nie żyją święci — westchnęła szczerze.

— Alboż nie wiesz — nauczała Kazia z powagą — że teraz w świecie jest tyle grzechów i zepsucia, iż nie wyżyłby na nim żaden święty.

Nawiązując do tego zdania, zaczęła Olga z zapałem krytykować ustrój dzisiejszy, kapitalistyczny, i przekonywać słuchaczki, iż trzeba go znieść, zniszczyć i zaprowadzić inny ład i porządek.

Słuchały dość obojętnie, a nawet trochę znudzone, a na zadawane pytania, odpowiadały bezmyślnie, widać było, że ich myśli były dalekie od prowadzonej rozmowy.

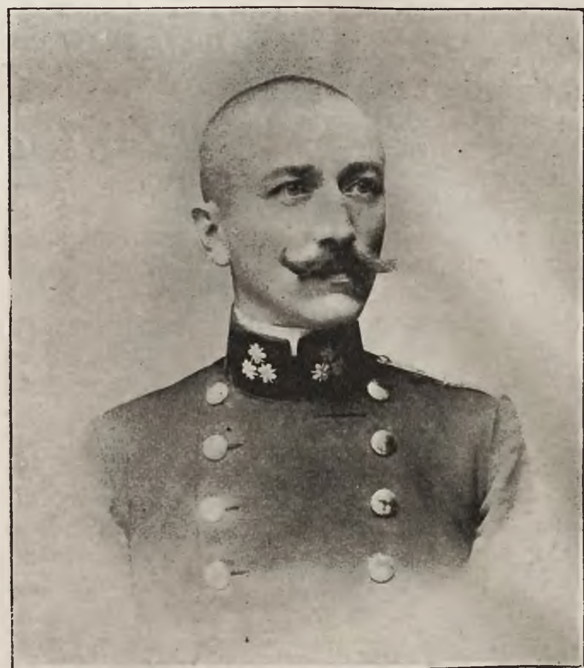
Broszury przyjęły chętnie, uśmiechając się porozumiewawczo i z niepokojem zaczęły oglądać się na drzwi. Wreszcie Kazia dała znak do wyjścia. Zerwały się szybko i przyrzekając półsłówkami, że będą w najbliższą niedzielę, wyszły pospiesznie z mieszkania.

I znów opanowało Olgę na razie zniechęcenie, niewiara w swe siły i zdolności.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Straż pożarna w Krakowie: Widok nowozbudowanej żelaznej spinalni i przegląd koni strażackich.



Straż pożarna w Krakowie: Naczelnik straży p. Feliks Nowotny.

Straż pożarna w Krakowie.

Pisaliśmy już niejednokrotnie o znaczeniu i użyteczności straży pożarnych. Instytucye te, dzisiaj już prawie wszędzie rozpowszechnione, cieszą się ogólną sympatyą i poparciem społeczeństwa. Bo też one stoją na straży mienia, a częstokroć i życia ludzi, którym tak we dnie jak w nocy w razie nieszczęśliwego wypadku z energią spieszą na pomoc. W numerze dzisiejszym podajemy Szanownym Czytelnikom kilka słów o najlepszej w Galicyi, najlepiej zorganizowanej, wyćwiczonej i wyposażonej straży pożarnej, mogącej śmiało uchodzić za wzór dla innych, t. j. o straży pożarnej w Krakowie.

Straż pożarna w Krakowie jest instytucyą miejską. Powstała w r. 1873 ze straży pożarnej ochotniczej za inicyatywą Tow. ogniowego wzaj. ubezpieczeń. Pierwszym naczelnikiem miejskiej straży był p. Eminowicz, który na tem stanowisku przetrwał do roku 1903. P. Eminowicz nie dorósł jednak do wysokości powierzonego mu zadania. Za jego rządów straż pożarna nie wzniosła się, jak należało i jak wymagał postęp, aż ostatecznie Rada miejska widziała się zmuszoną zrzucić go ze zajmowanego stanowiska i powierzyć komendę straży w ręce młodsze, energiczne i do pracy ochotne. Rozpisano konkurs na stanowisko naczelnika, z którego wyszedł zwycięsko p. Feliks Nowotny. Jemu oddano zarząd straży miejskiej.

P. Nowotny objął rządy przy końcu roku 1903. Od tego czasu datuje się niebywały dotychczas rozwój straży pożarnej, która w ręku tak znakomitego kierownika stała się wkrótce tem, czem jest dzisiaj, to znaczy chlubą Krakowa i wzorem dla innych podobnych instytucyi. P. Nowotny poświęcił wszystkie siły, aby zdezorganizowaną, zaniedbaną straż na nowo zorganizować, wyposażyć w najnowsze przyrządy i wyćwiczyć należycie. I to mu się w zupełności udało.

W ostatnich dwóch latach, to znaczy od objęcia stanowiska naczelnika przez p. Nowotnego, uzyskała straż bardzo wiele potrzebnych i użytecznych przyrządów, szczególnie do ratowania ludzi. Sprawiono więc płachtę do zlatywania osób z zagrożonych mieszkań piętrowych, drabiny ręczne wysuwane, sięgające do 3 piętra, gąsiory, to znaczy drabinki dwuramienne, tak urządzone, że jedną taką drabinką może poszczególny strażak wydostać się na każde piętro, sprawiono też rozsiewające prądnice, chroniące działającego prądem wody strażaka od poparzenia i dozwalające mu podejść blisko do największego nawet ognia. Wskutek nabycia tych nowych przyrządów wszystkie wozy zostały stosownie przerobione. Ponieważ zaś straż krakowska oprócz służby pożarnej wyrusza także z pomocą przy klęskach elementarnych, jak np. powodzi, w tym celu wyposażono ją w ubiegłym roku w 20 łodzi, specyalnie wykonanych według projektu naczelnika p. Nowotnego, którego staraniem straż została również wyćwiczoną w tym kierunku, aby podczas powodzi mogła nieść skuteczną pomoc. W roku bieżącym, idąc za postępem czasu, zaprowadził p. Nowotny przy straży, uprząż t. zw. *amerykańską* (wynaleziono ją i zaprowadzono po raz pierwszy w Ameryce). Uprząż ta wisi nad wszystkimi wozami ogniowymi, tak, że w razie alarmu konie podlatują pod nią i w przeciągu 20 sekund są już zaprzężone. Podnieść należy, że uprząż tę



Straż pożarna w Krakowie: Członkowie straży pożarnej ze sztandarem.



Straż pożarna w Krakowie: Brandmistrze: pp. Stępiński, Wójcik, Flasza i Obidowicz.

wykonała według wskazówek naczelnika Nowotnego krakowska firma, mianowicie zakład p. Piotrowicza. Będąc tak wyposażoną, krakowska straż wysunęła się, dzięki energii i poświęceniu naczelnika Nowotnego, na czoło wszystkich podobnych instytucyi w Galicyi.

Straż krakowska składa się z czterech plutonów. W każdym plutonie jest jeden brandmistrz, jeden sierżant, dwóch nadpompierów i 6 pompierów, oraz większa liczba pomocników i praktykantów. Każdy pluton ma osobne przyrządy ogniowe, tak, że może działać zupełnie samoistnie.

Straż utrzymuje dniem i nocą trzy pogotowia. Czwarty pluton jest od służby wolny i tylko w nadzwyczajnych wypadkach pełni służbę. O sprawności straży świadczy fakt, że wszystkie te pogotowia wyruszają na miejsce pożaru najpóźniej w przeciągu jednej minuty po alarmie. Naczelnik Nowotny stara się bowiem głównie o to, ażeby straż tak wyćwiczyć, żeby mogła jak najszybciej stanąć na miejscu pożaru i jak najprędzej pożar zlokalizować.

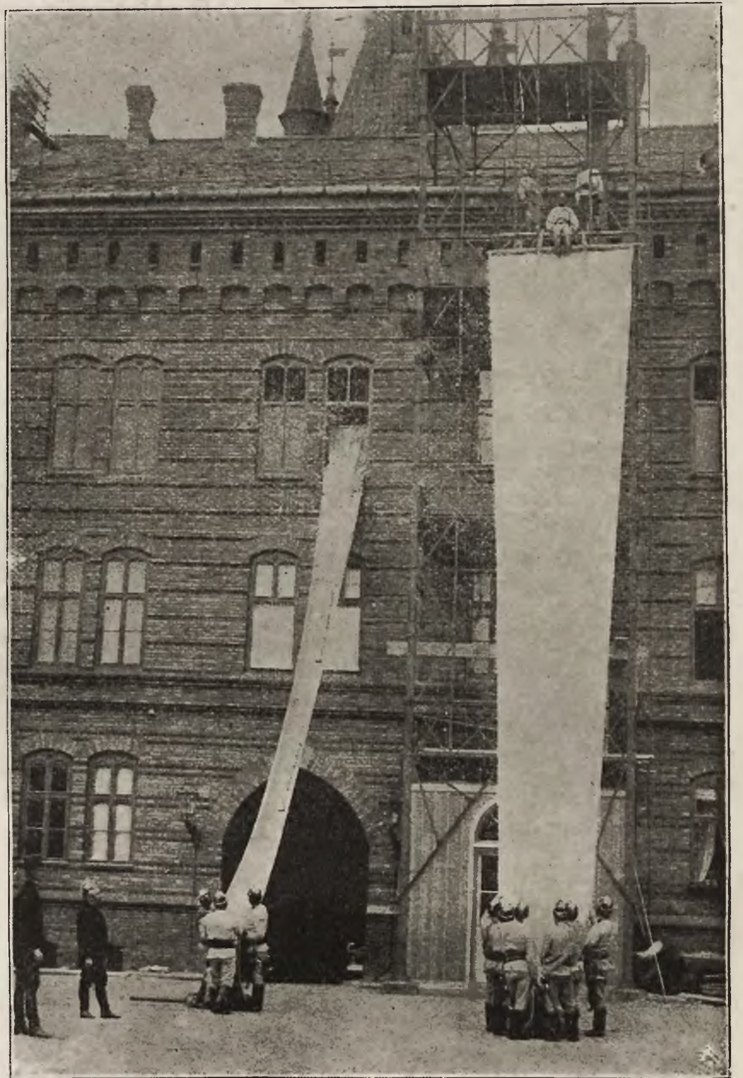
Ćwiczenia straży odbywają się codziennie na specyalnie w tym celu w roku 1904 zbudowanej żelaznej spinalni. Celem ćwiczeń jest, aby każdego strażaka tak wykształcić, żeby mógł samodzielnie działać podczas pożaru. To też straż nasza, aczkolwiek ilościowo mała, okazała niejednokrotnie, że dzięki swojej sprawności i wyćwiczeniu przy największych nawet pożarach daje sobie radę.

Straż posiada osobne biuro telegraficzne i telefoniczne, z którego rozchodzi się po całym mieście sieć specyalnego telegrafu pożarnego z 62 stacyami. Oprócz tego posiada własny telefon z 18 stacyami i telefon państwowy i wojskowy.

Na czele straży stoi, jak już wspomnieliśmy, p. Feliks Nowotny. Człowiek młody i w pełni sił, oto czony powszechnem uznaniem i należytym szacunkiem, cieszy się u wszystkich strażaków ogromnem przywiązaniem i zaufaniem. Dzielną pomoc stanowią dla naczelnika brandmistrze, a to: starszy brandmistrz Józef Stępiński, brandmistrz Aleksander Wójcik i Adam Flasza, oraz zastępca brandmistrza Jan Obidowicz.

Straż pożarna krakowska brała w ostatnich 2 latach energiczny udział w akcyi ratunkowej przy kilkunastu większych pożarach, jako to: przy pożarze w Łobzowie, w klasztorze Augustyanów, w Brzesku, a ostatnimi czasy w Suchej, rozwijając wszędzie energiczną działalność.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze fotografię naczelnika straży p. Nowotnego, fotografię brandmistrzów oraz całej grupy straży pożarnej ze sztandarem. Podajemy również widoki pogotowi gotowych do wyjazdu, widok spinalni oraz przegląd koni i ćwiczenia straży.



Straż pożarna w Krakowie: Ćwiczenia z przyrządami do ratowania ludzi, płachta i worek ratunkowy.



Straż pożarna w Krakowie: Pogotowia, gotowe do wyruszenia na miejsce pożaru.



Nowe gniazdo sokole: Pawilon Eleuteryi na festynie podczas uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod sokolnię.

Śmierć znakomitego geografa.

W tych dniach zmarł w Thorout, miejscowości, położonej blisko Brukseli, znany geograf i jeden z najzagorzalszych zwolenników anarchizmu, Elizeusz Reclus. Przez całe życie szedł on z ogromnym zasobem energii i ufności w urzeczywistnienie swych planów, a wprost zdumiewającą wiedzą jako geograf zjednał sobie sławę wszechświatową.

Elizeusz Reclus należał do tych pracowników, dla których nie istniało niebezpieczeństwo osobiste, którzy prawdę wygłaszali bez obawy. Toteż całe jego życie było jednem pasmem cierpień, szykan i prześladowań ze strony rządu. W r. 1871 podczas paryskiej kumuny, aresztowano go za płomienne odezwy, wyszłe z pod jego pióra. Skazany na dożywotnią banicyę, przebywał ośm lat w Lugano, następnie przeniósł się do Paryża i tutaj wystąpił w całym szeregu mów i wspaniałych odezw przeciw oficyalnym małżeństwom. Że występował przeciwko temu całą duszą, a nie połowicznie, najlepszym chyba tego dowodem, że obie swe córki wydał za mąż bez żadnych oficyalnych a tem mniej religijnych ceremonii.

Naraziwszy się policyi paryskiej, zmuszony uchodzić przed jej prześladowaniem, przeniósł się do Brukseli, gdzie powołano go na profesora geografii porównaczej w tamtejszej wszechnicy. W Brukseli rozwinął wszechstronną działalność, jako uczony geograf i jako anarchista. Pomagał wielu współkolegom materyalnie, jako geograf i uczony pracował nad dziełami, które mu zjednać miały wszechświatową sławę. Do najważniejszych należą: „Geografia świata", dzieło wydane w języku francuskim, nad którem pracował lat przeszło dwadzieścia i „Ewolucya i rewolucya", traktujące naukowo o postępie ludzkości.

Zc śmiercią Reclusa zszedł ze świata jeden z największych marzycieli i fantastów, człowiek, w którym ustawicznie kołatał „duch — wieczny rewolucyonista"; znakomity uczony, który poznał ewolucyę ducha ludzkiego w całej pełni, nienawidził całą duszą uświęconych tradycyą zwyczajów i nałogów ludzkości, nienawidził władców i królów, jednem słowem był to anarchista w szlachetnem tego słowa znaczeniu, przejęty ideą nienawiści do głębi duszy, bo widzący w tej idei jeden ze sposobów wyzwolenia ludzkości z pęt nędzy, w jakich dzisiaj jęczy. Słowem i czynem działał Reclus jako uczony i jako propagator idei anarchistycznej. Był to może szaleniec, ale szaleniec szlachetny, który myślał jedynie o tem, w jakiby sposób można ludzkość sprowadzić na drogę szczęścia. I dlatego cieszył się nietylko uznaniem w kołach uczonych, ale także niezmierną sympatyą wszystkich żywiołów rewolucyjnych.

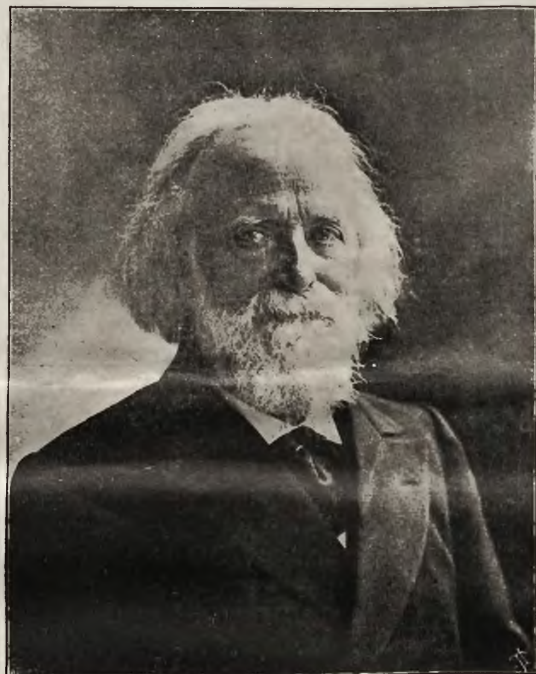
Podajemy obok portret znakomitego uczonego.

Nowe gniazdo Sokole.

Znamiennym, a pocieszającym objawem dla naszego społeczeństwa, jest coraz to większe popularyzowanie się idei sokolej, która postawiła sobie wzniosłą dewizę: „w zdrowem ciele, zdrowy duch". Dziś niema prawie w Galicyi miasteczka, gdzieby dzielny „Sokół" nie miał swego gniazda. Wszędzie niemal powstają mniejsze, lub większe gmachy sokole, kędy druhowie nasi zarówno ciało jak i ducha ćwiczyć mogą.

Jednem z nowopowstałych, stałych, murowanych siedzib, jest gmach „Sokoła" w podkarpackiem miasteczku Gorlicach. W dniu 2 lipca b. r. odbyła się tam piękna uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego. Już wczesnym rankiem ciągnęły ku Gorlicom koleją, bryczkami, konno i pieszo dziarskie zastępy Sokołów. A było ich rzeczywiście niemało! Reprezentowane były gniazda pobratymcze z Jasła, Krosna, Dukli, Tarnowa i Głogowa. Prócz nich wystąpiły *in pleno* przedstawiciele szkół miejscowych, cechów, straży ogniowej, miasta i powiatu. Tak licznego i świetnego zjazdu obywatelskiego, takiego nastroju niekłamanej serdeczności i braterstwa od dawna Gorlice nie pamiętają!

Po nabożeństwie, odprawionem w parafialnym kościele, przystąpiono do właściwej uroczystości:



Śmierć znakomitego geografa: Elizeusz Reclus.

założenia i poświęcenia kamienia węgielnego pod budować się mający gmach „Sokoła". Aktu dokonał czcigodny ks. kanonik Sos, znany z swej zacności i patryotyzmu kapłan. Wypowiedział on przy tej sposobności przepiękną mowę, której każde słowo na długo utkwi w pamięci czytelników. Nastąpiły dalsze przemówienia. Imieniem „Związku Sokoła" mówił z właściwą sobie swadą dr. Baranowski, prezes „Sokoła" jasielskiego, imieniem m. Gorlic burmistrz dr. Radomyski i wreszcie ostatni głos zabrał wielce zasłużony dla sprawy Sokoła — dr. Przesmycki. Po wspólnej biesiadzie odbył się w Parku Kościuszki wielki Festyn, z dochodem około 2.000 koron — przeznaczonym na budowę własnego gmachu „Sokoła". Festyn udał się znakomicie, a główna w tem zasługa komitetu i niestrudzonego prezesa komisyi festynowej, sędziego Gibasa. Załączone do niniejszego artykułu zdjęcia przedstawiają poświęcenie kamienia węgielnego przez ks. kan Sosa i bardzo oryginalnie pomyślany i urządzony pawilon dla „Eleuterzystów", na festynie w Parku Kościuszki.

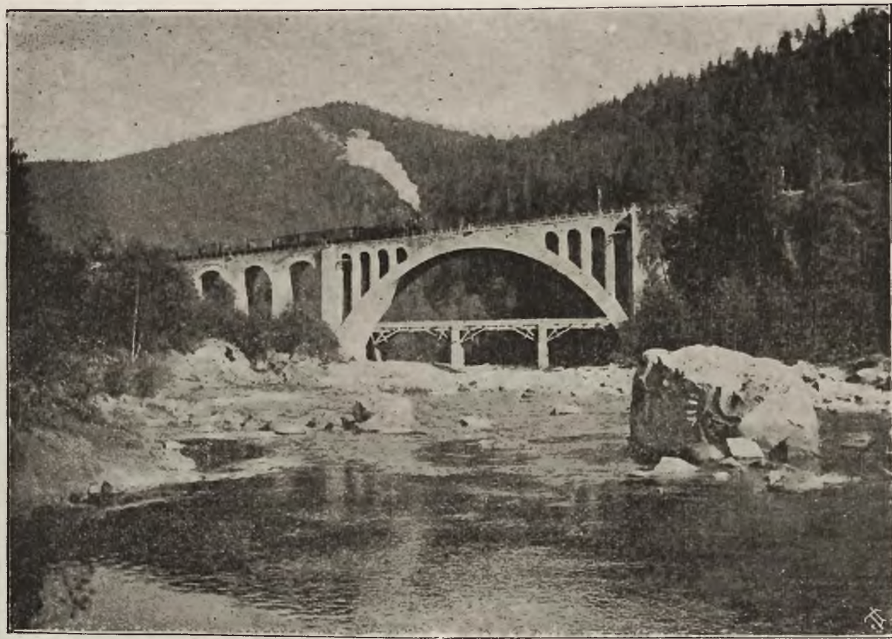
Mówiąc o poświęceniu kamienia węgielnego pod nową sokolnię w Gorlicach, niepodobna nie wspomnieć o nadzwyczajnym rozwoju tego miasteczka w ostatnich latach. Pomimo, że eksploatacya nafty w okolicy znacznie się zmniejszyła, Gorlice nie przestały jednak być jednem z najbardziej ruchliwych, najbardziej handlowych miasteczek. W ostatnich latach podniosły się Gorlice ogromnie przez wybudowanie kilku okazałych budowli. Przedewszystkiem trzeba wspomnieć o kościele, który dzisiaj już prawie na ukończeniu, stanowić będzie jedną z najpiękniejszych świątyń w naszym kraju.



Nowe gniazdo sokole: Ksiądz proboszcz Sos dokonywa aktu poświecenia kamienia węgielnego pod nową sokolnię.



Z Delatyna do Worochty: Wodospad Prutu w Jaremczu.



Z Delatyna do Worochty: Most kolejowy w Jaremczu.

Wystawiono też okazały gmach Rady powiatowej oraz starostwa; nowa sokolnia, której budowa będzie prawdopodobnie na przyszły rok wykończona, będzie jednym więcej krokiem w rozwoju Gorlic. Ruchliwemu komitetowi sokolemu możemy szczerze pogratulować, że w tak krótkim czasie zdołał rozpocząć budowę nowego gniazda.

Z Delatyna do Worochty.

II.

Z Dory do Jaremcza, to przechadzka, trwająca niecałą półgodzinę. Pociąg staje tam w siedmiu minutach. Na stacyi wita cię wesoły gwar gości, zalegających różnobarwnym tłumem peron. Wysypuje się z pociągu mnóstwo podróżnych. Jedni pozostają tutaj, drudzy przybyli odwiedzić znajomych, na kilka godzin, inni jadą do dalszych stacyj klimatycznych, których na tej linii kolejowej jest pełno. Połączenia kolejowe są tak udogodnione, że np. Stanisławowianin może mieszkać w Delatynie, Dorze czy też Jaremczu, raniutko wyjechać do miasta, cały dzień siedzieć w urzędzie, czy przy innem swojem zawodowem zajęciu, wieczorem zaś wraca do rodziny. Szczególnie w niedzielę i dni świąteczne pociągi są przepełnione, a w uzdrowiskach wszystkich roi się od przejezdnych, którzy radzi są odetchnąć przeczystem górskiem powietrzem, bodaj przez godzin kilkanaście. Ruch ten turystyczny ułatwiają bilety powrotne, z ważnością trzydniową, wydawane w dni przedświąteczne przez zarządy kolejowe we Lwowie i w Stanisławowie, po połowie ceny.

Jaremcze wzrosło w oczach. Przed dwudziestu laty nikt Jaremcza nie znał. Znano tyko Dorę. Jaremcze jest przysiołkiem Dory i nie tworzy dla siebie gminy politycznej. Od r. 1894, tj. od wybudowania lini kolejowej Stanisławów-Woronienka, datuje się dopiero rozwój wszystkich stacyj klimatycznych na tej przestrzeni położonych, w szczególności zaś Jaremcza, które w przeciągu kilku lat zaludniło się letnikami, pobudowało się gęsto i urosło w głośne już dzisiaj uzdrowisko.

Jaremcze ma też wszelkie warunki wybornej stacyi klimatycznej. Prześliczne położenie nad szumiącym Prutem, ponad którym wznosi się, od wschodniej strony, skalista ściana, świerkowym pokryta lasem, kąpiące się w słońcu bujne łąki i ożywcza w Prucie kąpiel. Romantyczne z natury położenie Jaremcza podnosi geniusz ludzki, ujawniony w sztuce inżynierskiej. Ponad zlewem Prutu, w wysokości czterech piętr, rozpięty jest śmiałym łukiem, z ciosowego kamienia, most kolejowy, arcydzieło techniki nowoczesnej, W łuku tym kamiennym, niby w tęczy, maluje się w głębi pyszny pejzaż górski, pełny świeżej zieleni i ciepłego słońca Pociąg, lecący ponad tą przepaścią z niesłychaną szybkością, pochyla się na skręcie jedną swą stroną ku torowi kolejowemu, tak bardzo, iż patrząc na niego z dołu, doznaje się wrażenia, że się lada chwila przewróci i runie w przepaść.

Gdybyś mógł się, szanowny czytelniku, wychylić w tej chwili dobrze z okien wagonu, po prawej ręce ujrzałbyś pod wiaduktem w dole jedną z najbardziej godnych widzenia rzeczy w Jaremczu.

Jest to wodospad na Prucie. Na nieznacznym skręcie, z wysokości mniej więcej dwumetrowej, spada po olbrzymich odłamach skalnych Prut, srebrną pieniąc się grzywą, perląc sią jak szampan i wpadając z hukiem w szmaragdowo-zieloną toń, w której się cicho rozpływa i ginie, jak życie ludzkie w wieczności.

Wodospad ten jeszcze przed kilkunastu laty był znacznie większy i majestatyczniejszy, dzisiaj jakkolwiek rozbity i umniejszony, zawsze jeszcze stanowi miejsce pielgrzymki turystów, do Jaremcza przybywających. O kilkaset metrów w głąb, nad potokiem Żonką, do Prutu wpadającym, był piękny, chociaż dużo mniejszy, drugi wodospad Żonki, łakomcy jednak, spekulujący na kamień, rozbili go zupełnie.

Ledwie opuściłeś wodospad Prutu, pociąg unosi cię, sunąc, tuż obok gościńca, przez tunel do uroczej Jamny. Po drodze oko twoje zatrzymuje się na dwóch przedmiotach. Są nimi: kamień Dobosza i pomnik Krattera.

Kamień Dobosza, jest to ułamek ogromnej skały, opatrzony znakiem krzyża świętego, a poświęcony pamięci słynnego opryszka Dobosza, którego pamięć żyje w ustach ludu tutejszego i otaczana jest pewną aureolą, jako uosabiającego w sobie dziką odwagę, zamiłowanie wolności i romantyczne skłonności poetycznego ludu huculskiego. Przed kilku laty odkryto także w Jaremczu jaskinię, z wykutemi w niej kryjówkami i gankami, które wskazują jako jeden z tajemniczych pałaców Dobosza. Szukano w niej skarbów ukrytych słynnego opryszka, ale pomimo krążących legend, ani tu, ani w okolicy, nigdzie ich nie znaleziono.



Z Delatyna do Worochty: Wejście do tunelu i kamień Dobosza w Jaremczu.

Drugi kamień poświęcony jest pamięci starosty austryackiego Krattera, którego zasługą jest wybudowanie wybornego gościńca, aż do Węgier prowadzącego. Napis na nim, pod godłem orła austryackiego, jest niemiecki, wierny zabytek galicyjskiej kultury jeszcze przed pół wiekiem.

Mijamy długi tunel i po całominutowej jeździe wśród głębokiej ciemności, dostajemy się do przepięknej Jamny. *S. B.*



Z Delatyna do Worochty: Ogólny widok Jaremcza.



Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

9 (Dokończenie)

— Dobrze, że pan tu jesteś, mister Vanderhook — rzekł spiesznie. — Musi nam pan pomódz złapać włamywaczy. Winszuję panu, pańska niewinność została dokładnie wykazana. Włamywacze są już na drodze do kryminału, a pieniądze tak, jakby już były w naszem ręku. Nie mogliśmy aresztować pana w urzędzie, bo musieliśmy się strzedz włamywacza, którym jest jeden z personalu banku.

— Ach! więc mister Torry, detektyw — zapytał Miles.

Przerwał mu jednak inspektor.

— Nie, nie, to pan musisz zawdzięczać naszemu detektywowi *P.*

— Detektyw *P*?

— O, jego pan nie znasz. Przyjmij pan jednak do wiadomości, że detektyw *P.* uratował nietylko pańskie pieniądze, ale i pańskie życie!

— Życie? Przeraża mnie pan! A któż to jest ten detektyw *P.*?

— Jego zakres pracy był w banku. Jednak o tem potem. A teraz do rzeczy. Niech mi pan powie, mister Vanderhook, jak się panu podobało aresztowanie? Czy nie byliśmy dyabelnie na wszystko przygotowani?

— Rzeczywiście, na wszystko. Za to wam się już należy pochwała.

— Której jednak ja nie mogę przyjąć — wtrącił inspektor — bo rozkaz aresztowania nie pochodzi od nas, ale był kopią innego. Taksamo właśnie, jak to miało miejsce przed chwilą, zamierzali pana uprowadzić złodzieje — za pomocą fałszywych detektywów i fałszywego policyanta.

— Nie rozumiem — rzekł Miles, jakby we śnie.

— Kapitanie, proszę to panu wytłómaczyć.

Kapitan Tomson podszedł do młodego człowieka.

— Niech pan mnie słucha uważnie — rzekł — i niech pan o nic nie pyta. Dzięki sprytowi i energii tylekroć już wspomnianego detektywa *P.*, wpadł w nasze ręce ważny plan zbrodniarzy. Właściwi włamywacze nie znaleźli w kasie grubszej monety, gdyż podszedł ich jeden ze wspólników, który się znajdował wśród personalu bankowego. Wskutek machinacyi tego ostatniego, włamywacze, jakoteż niestety i policya, byli przekonani, że miliony pan zabrałeś. Postanowili więc pana uprowadzić, wymusić od pana zeznanie, gdzie się owe dwa miliony znajdują, a potem pana zamordować.

Miles zbladł.

— Co? — zawołał zdumiony. — I napad na mnie miał być dziś dokonany? A to byłbym się dostał. Byłbym im wlazł bez kwestyi w ręce.

— Najlepszy dowód, że pan tu wszedłeś — rzekł, śmiejąc się, inspektor Byrnes.

— Napad miał być jednak wykonany nie dzisiaj rano — ciągnął dalej kapitan — bo on dopiero będzie wykonany. Dzisiaj w południe, o godzinie pierwszej, kiedy pan będzie powracał z Delmonicos, zbrodniarze wykonają swój plan. Pan się musi zachować tak, jakbyś pan o niczem nie wiedział, zupełnie taksamo, jakeś się zachował przed chwilą, to znaczy, że pan pójdzie ze zbrodniarzami, oni pana zaprowadzą na Blekerstreet, ale zanim pan tam dojdzie, wszystko będzie w porządku. Zrozumiał pan teraz?

— Zdaję się na was, dżentelmeni.

— Wszystko w porządku — odparł inspektor Byrnes — idź pan teraz na śniadanie, tak, jakby dotychczas nic szczególnego nie zaszło. Nie zrobisz pan kroku bez opieki, na dole stoi dwunastu detektywów, którzy za panem pójdą do Delmonicos, a piętnastu ludzi otoczy pana w chwili, kiedy się pan dostaniesz w ręce zbrodniarzy. Na rogu Blekerstreet stoi w sieniach i na dziedzińcach cały oddział zbrojny w pogotowiu, możesz pan więc być bezpieczny. A zatem *good bye!*

Podali sobie ręce, uścisnęli się serdecznie i Miles wyszedł.

Jak urzędnicy przepowiedzieli, tak się też stało. W dwie godziny później przeżył Miles Vanderhook po raz drugi ciekawy epizod aresztowania na ulicy.

Na rogu Blekerstreet nastąpiła katastrofa.

Dwudziestu ludzi, na pozór mieszczan, w rzeczywistości tajnych ajentów, otoczyli zbrodniarzy i ich jeńca.

O ucieczce nie było co myśleć.

W mgnieniu oka pseudopolicyści zostali ubezwładnieni, okuci i odprowadzeni na policyę, podczas gdy znaczna część policyantów zajęła się rozproszeniem, zwykłego w takich razach, zbiegowiska i przywróceniem spokoju.

X.

W prywatnym gabinecie Vanderhooka rozegrał się epilog tej wielkiej tragedyi włamania.

Miss Lydia Horn zjawiła się na drugi dzień po katastrofie, jak zwykle, w biurze, ale znalazła bardzo zimne przyjęcie.

— Niech się pani nie dziwi — rzekł surowo szef — zaszły takie okoliczności, że musimy zerwać nasz stosunek.

Lydia patrzyła spokojnie na młodego człowieka.

— O ile mi się zdaje — rzekła — to gniewa pana moja poufałość z Bobem Murphy.

— Tak jest, miss Horn. Jednak mnie to nie gniewa. Pani się źle wyraziła. Nie mogę pani przecież dyktować przepisów co do prywatnego życia pani. Rzecz jest poważniejszej natury. Muszę pani powiedzieć, że Bob Murphy, któremu pani ofiarowałaś przyjaźń, a może i co więcej, jest zbrodniarzem. Wczoraj go aresztowano z powodu wielkiego sprzeniewierzenia. Jestem, rozumie się, przekonany, że pani o tem nic a nic nie wiedziała. Jednak rozumie pani...

— Rozumiem, mister Vanderhook. Może pan sobie oszczędzić formalnego wypowiedzenia mi, bo ja właśnie przyszłam podziękować za posadę. Wołają mnie inne obowiązki. Mogę pana prosić, by pan przeczytał to pismo?

Miles wziął podany mu list i podszedł do okna. I kiedy począł czytać, oczy jego odwracały się powoli od pisma, aż nareszcie spoczęły zdumione na jej twarzy.

— Detektyw *P.?* — wyszeptał. — Czyżby to było możliwe?

Skinęła głową z uśmiechem.

— Zrozumie pan — rzekła — że teraz dłużej...

Ale w tej chwili Miles był już obok niej i przyciskał ją do piersi.

— Przebaczenia, słodka Lydio — jakże mogłem przeczuwać, że detektyw *P.*, ten tajemniczy, niewidzialny ukrywa się pod tak cudną postacią. A więc to ty — ty, która mi życie uratowałaś? Oh, Lydio — czyż to nie był głos Opatrzności, który do nas, nie, do ciebie, do ciebie tylko przemówił?

Łagodnie uwolniła się Lydia z jego objęć i cofnęła się.

— Jakto, mój panie, skądże ta nagła zmiana? Czyż ja nie jestem tąsamą, która z Bobem Murphy wystawała w ciemnej sieni?

— Oh, nie mówmy o tem. Przecież tyś go zdemaskowała!

— Tak, ja. I po to stałam z nim w ciemności. A teraz, niech pan przeczyta to pismo, abyśmy przyszli do rzeczy.

Miles podniósł z uśmiechem pismo ze ziemi i czytał, co następuje:

Do
Miss Lydyi Barcley, detektywa *P.*
Precinet Nowy Jork.

Z polecenia pana inspektora policyi mam zaszczyt donieść pani, że przedłożono Dyrekcyi policyi natychmiastowe mianowanie pani sierżantem. Jutro otrzyma pani dekret na sierżanta z uwiadomieniem, że teraz przeniesie się pani do głównej Dyrekcyi policyi, a specyalnie do sztabu pana inspektora.

Winkelman, kapitan N. P. P. G.

— Przeczytał pan? — zapytała Lydia, kiedy młody człowiek upuścił papier na ziemię.

Skinął głową i podszedł ku niej, ale ona się cofnęła.

— Lydio!

— Dalej już nie mogę być pańską sekretarką.

— A więc bądź moją żoną, słodka Lydio — zawołał Miles i przycisnął ją z mocą do piersi. — Twoje to przecie wszystko, miliony, które odkryłaś, życie, które mi uratowałaś.

Lydia patrzała wilgotnemi oczyma, ale z uśmiechem w twarz ukochanego.

— Jakto, mój panie, więc chciałbyś iść na całe życie pod nadzór policyjny?

— Tak jest, tak jest — wołał radośnie Miles i przytknął płonące usta do różowego kielicha jej warg.

Szef banku, który w tej chwili wszedł był do gabinetu, zmarszczył brwi. Chciał on przecie, jak się wyraził błogosławionej pamięci Bob Murphy, pozbyć się „tego“ z domu. Ale kiedy się o wszystkiem dowiedział, ucieszył się ogromnie, że lekkomyślny Miles oddał się pod dozgonny policyjny nadzór energicznej, dobrej i pięknej Lydii, która opuściła służbę i oddała się cała czuwaniu nad swoim małżonkiem.

XI.

Bill Crookey, pierwszy włamywacz w Stanach Zjednoczonych, odznaczał się obok nadzwyczajnie bujnej wyobraźni i śmiałości, również zimnem wyrachowaniem i przezornością. Były to przymioty w jego „fachu“ nadzwyczaj potrzebne, a mało który z wybitniejszych włamywaczy posiadał je w równym stopniu. Toteż Bill, aczkolwiek brał udział we wszystkich prawie znaczniejszych włamaniach, umiał zawsze tak zgrabnie się wywinąć, że kara śmierci, która mu już oddawna na każdym kroku groziła, odwlekała się z dnia na dzień. I teraz Bill okazał się godnym swojego dostojeństwa złodziejskiego. Wypracował bardzo skrupulatnie plan uprowadzenia Milesa Vanderhooka, postarał się o sprowadzenie ludzi, którzy mieli dokonać uprowadzenia, ale kiedy przyszła stanowcza chwila, to znaczy, kiedy miał razem z Toddem i Grabberem oczekiwać Milesa Vanderhooka w restauracyi u „czerwonego Jacka“, rozmyślił się i postanowił mieć się na ostrożności.

Było dziesięć minut po pierwszej w południe, kiedy Todd i Grabber, niecierpliwiąc się coraz bardziej, co chwila spoglądali na zegar, wiszący na ścianie separatki „Czerwonego Jacka“. Bill siedział spokojny, ale mózg jego pracował wtedy gwałtownie.

— Jużby powinni być tutaj — ozwał się Grabber.

— Dwanaście minut po pierwszej — wtrącił Todd.

— A niechże was dyabli wezmą z waszemi minutami — krzyknął Bill. — Wybyście chcieli tak odrazu robić wszystko. Za moich chłopaczków ja ręczę, ja, Bill Crookey.

Spojrzał groźnie na towarzyszy, którzy natychmiast umilkli.

— A jeżeli mi nie wierzycie — ciągnął dalej — to ja wam pokażę, że Bill Crookey nigdy nie zawodzi swoich przyjaciół. W tej chwili wychodzę na ulicę i wrócę razem z Milesem. Najlepszy dowód, że jestem pewny siebie i swoich chłopaczków.

Mówiąc to wstał i w tej chwili wyszedł z separatki. Zaledwie jednak stanął na kurytarzyku, oddzielającym separatkę od restauracyi, uszu jego doleciał gwar i odgłos jakby falujących tłumów. Spojrzał przez drzwi do restauracyi i zobaczył tam samych tajnych ajentów, których znał tak, jak i oni jego.

— Do kroćset! — zaklął. — Czyżby i teraz się nie udało?

Gwar i hałas dochodził coraz wyraźniej z ulicy. Bill, nie namyślając się wcale, w jednej chwili otworzył okienko, wychodzące na dziedziniec i wydostał się z pułapki w chwili, kiedy policyści dostali się już na kurytarz i zaczęli się dobijać do separatki, w której się znajdowali Todd i Grabber. Na szczęście nikt nie zauważył jego ucieczki.

Znalazłszy się na dziedzińcu, otoczonym zewsząd wysokim dosyć parkanem, usłyszał naokoło całego domu jakiś przytłumiony gwar. Wytężył słuch i po chwili syknął przez zaciśnięte zęby:

— Zdrada!

W tej chwili doleciały jego uszu krzyki Todda i Grabbera, którzy niespodziewanie dostali się w ręce policyi.

Nie było się co namyślać. Dom był otoczony ze wszystkich stron. Widocznie ktoś zdradził cały plan policyi, która urządziła obławę i zamyślała wszystkich ptaszków złapać naraz. Bill zrozumiał grozę położenia i bez namysłu, nie ociągając się dłużej, podszedł ku kupie kamieni, znajdującej się na środku dziedzińca, kilkoma rzutami ręki odnalazł tajne wejście do podziemnego lochu, podniósł pokrywę i zanurzył się w głębi.

Tymczasem, co to?

Czyżby wszystko zbuntowało się przeciw niemu? Żelazna pokrywa, zasłaniająca otwór do lochu, spadła nagle, a z lochu doleciał głuchy jęk i stuk, jakby coś ciężkiego zwaliło się nagle ze znacznej wysokości i spadło.

Tymczasem na dziedzińcu zaroiło się już od policyantów. Przeszukiwali oni każdy kątek, zaglądali do każdej dziury, ale jakoś nic nie znaleźli. Zatrzymali się chwilę przy kamieniach, pokrywających otwór lochu, ale ponieważ pokrywa, spadając nagle, wstrząsła kupę, więc kamienie zwaliły się na nią, tak, że jej wcale nie było widać. Była ona zresztą tak czy tak trudna do odnalezienia i jedynie ten, który już nieraz musiał się chronić do lochu przed pościgiem policyi i znał każdą piędź ziemi w podwórzu, mógł ją odrazu znaleźć. Po chwili policyanci zebrali się razem i poczęli mówić półgłosem.

— Że on to był, to nie ulega kwestyi — mówił jeden. — Znana to sztuka i chytra. I dałbym szyję w zakład, że on tu jest jeszcze.

— Ale gdzie?

— Gdzie? Otóż w tem sęk. Gdybym wiedział gdzie, to nie byłbym wcale stawał, alebym go odrazu wziął w moje ręce.

— No, nie tak bardzo. A nużby cię poczęstował jakiem żelazem, tobyś ani zipnął, jenobyś zaraz poszedł spać na łono Abrahama.



— Jakto, mój panie, więc chciałbyś iść na całe życie pod nadzór policyjny?

— Grabber wściekły ze złości, żeśmy go przycupnęli — wtrącił inny — powiedział wyraźnie: „Poszukajcie teraz i Billa, to już będziecie mieli całą bandę w ręku. A Bill w tej chwili wyszedł od nas, więc tu musi być“. To są słowa Grabbera, które potwierdził i Todd.

— Przez restauracyę nie przeszedł, bo ja stałem przy drzwiach i czuwałem. A pana Crookey mam przyjemność znać. Widzicie. Tu, na tej ręce brak mi dwóch palców. Uciął mi je jegomość Crookey, kiedym go przed trzema laty aresztował. A uciął je sprytnie nożem w jednej chwili, tak, że jeden palec odpadł, a drugi zaledwie wisiał na włosku.

— Powinieneś mu się teraz odwdzięczyć.

— No, żebym go dostał! Już on by mi zapłacił za te moje palce. Co gorsza. Na jednem palcu miałem drogi pierścień z trzema perłami. Zbrodniarz, widząc, że z bólu upadłem, urwał mi ten palec od ręki, zdjął pierścień i w ten sposób jeszcze mnie obrabował.

Głośny śmiech był odpowiedzią na to szczere, ale smutne wyznanie.

— Tymczasem nie mamy już czego szukać — rzekł jeden. — Billa niema. Znikł, jak wiatr w polu. Ale i na niego przyjdzie kolej — w to nie wątpię.

Powoli policyanci się rozeszli, oglądnąwszy jednak przedtem bardzo skrupulatnie każde miejsce.

Co się tymczasem działo z Billem?

Loch, do którego się zsunął, był głęboki na jakie dwadzieścia metrów. Schodziło się doń po olbrzymiej drabinie. Na dole znajdowała się tam duża izba, mogąca pomieścić do 30 osób. Było to zwykłe miejsce narad głównych rzezimieszków Nowego Jorku. Oprócz dużego stosunkowo stołu, na którym stała zakopcona lampa i kilku stołków, nie było w niej nic. Ściany obite były deskami, na których widać było długie plamy ściekającej wilgoci.

Bill zsunął się do lochu, pewny, że w odległości może jednego metra od otworu napotka na drabinę, po której swobodnie zejdzie na dół, gdzie przeczeka parę godzin, do wieczora, aby potem swobodnie wyjść i ostrożnie wynieść się z metropoli, gdzie mu już było za gorąco pod stopami. Tymczasem, opuściwszy się na dół, uczuł próżnię. Osunął się więc jeszcze niżej i począł nogami szukać końca drabiny. W tej chwili jednak klapa nagle spadła. Bill stracił równowagę i runął w głąb.

Spadłszy z tak wielkiej wysokości na ziemię, omdlał. I kiedy policyanci rozprawiali na dziedzińcu o Billu Crookey, najsłynniejszy włamywacz Stanów Zjednoczonych leżał w głębokości 20 metrów pod ich stopami bez życia, z połamanemi żebrami i zwichniętą ręką.

Podwórze dawno już opustoszało, na ulicy zapadł już dawno mrok, a Bill leżał ciągle w piwnicy bez znaku życia. Na zegarach biła już północ, kiedy nareszcie przyszedł do przytomności. Ocuciwszy się z omdlenia, uczuł, że go w straszliwy sposób bolą kości. Nie mógł się ani wyprostować, ani ruszyć, ani wstać.

Zaklął więc, próbował się wyprężyć, ale w tej chwili głuchy jęk wydarł mu się z piersi i Bill omdlał na nowo.

Kiedy się po paru godzinach znowu ocucił, uczuł, że mu się w głowie mąci, że w oczach latają mu wężowe smugi błyskawic. Zdawało mu się, że stał na jakiejś wysokiej skale, że nagle ziemia mu się usunęła z pod stóp i że leci w ciemną przepaść. Leci i leci... Przymknął powieki, ale w głowie poczęły mu jaśnieć tysiące gwiazd, które przelatywały mu piorunnymi błyski poprzez mózg, znacząc na nim, jak mu się zdawało, ostre, krwawe bruzdy.

Coraz bardziej dawało mu się uczuwać pragnienie.

— Pić!...

Szept ten wydzierał mu się z ust co chwila. Ale znikąd nie było pomocy, ni ratunku...

Na trzeci dzień po wypadku, kiedy w pałacu Vanderhooków święcono uroczyście zaręczyny młodego Milesa i pięknej Lydii, najsłynniejszy włamywacz w Stanach Zjednoczonych, Bill Crookey, po strasznych męczarniach skonał w lochu przy restauracyi u Czerwonego Jacka.

Jak się pokazało, czerwony Jack, który był w zmowie z policyą, sam usunął z lochu drabinę. O lochu jednakże policyi nie wspomniał, bojąc się, ażeby i jego nie zaaresztowano i nie pociągnięto do odpowiedzialności za rozmaite sprawki, których miał dość na sumieniu.

Tak się skończyła tragedya złodziejska, walka o dwa miliony. Tak zginął pierwszy włamywacz Stanów Zjednoczonych, Bill Crookey.

KONIEC.

Wiejska tragedya.

Z pośród wszystkich namiętności ludzkich najstraszniejszą, bo zazwyczaj najfatalniejsze za sobą pociągającą skutki, jest zapalczywość i porywczość. Człowiek, zaślepiony gniewem i podniecony sprzeczką czy kłótnią, popełnia wtedy rzeczy, jakichby w normalnym stanie nie popełnił. Jeżeli zaś gdzie są ludzie zapalczywi, to nasi chłopi, mazurzy. zajmują w ich rzędzie pierwsze miejsce. Mazur porywczy i zacięty zdolny jest nawet do zbrodni, jak to miało niedawno miejsce w Brzozówce, niedużej wsi w powiecie jasielskim.

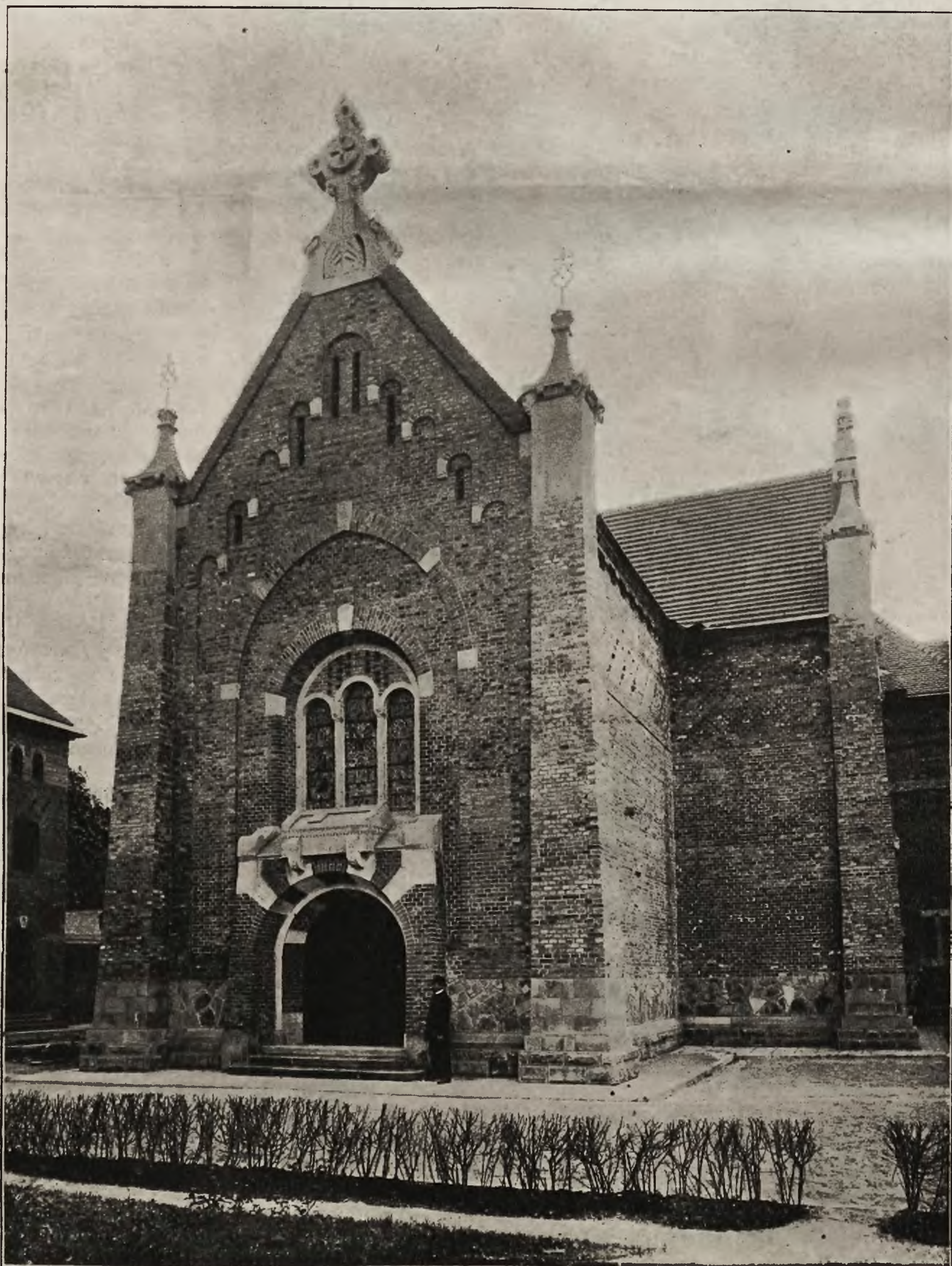
Przed kilku dniami powstała w chacie Wiktoryi Mędrek w Brzozówce sprzeczka. Niejaki Szymon Gunia począł bić Mędrkową, na krzyk której powybiegali jej syn Michał i Józef Biernacki i ci rozjuszonego Gunię oderwali od Mędrkowej. Rozwścieczony Gunia pobiegł na strych. Po chwili wrócił chowając coś za sobą, przypadł do stojącego przy piecu Biernackiego i kosą bez rękojeści ciął nieszczęśliwego trzy razy. Cięcia były tak straszne, głębokie, że głowa w tej chwili zwisła. Biernacki padł trupem na miejscu. Morderca Szymon Gunia, chłop rosły lat 56, jak gdyby nic nie zaszło, wylazł na strych i ułożył się do snu, odgrażając się, że całą wieś spali. Aresztowano go dopiero nad ranem, gdyż musiano dopiero z Jasła żądać pomocy, a przez ten czas mógł Gunia wymordować i spalić całą wieś.

Gunia — to typ zbrodniarza, który niema w sobie już nic z dobra i poczucia ludzkości. Kiedy go rano żandarm zakuwał w kajdany, zbrodniarz począł się drwiąco śmiać i potem przez całą drogę do Jasła świstał i wyśpiewywał. Zamordowany Biernacki był człowiekiem młodym, liczył dopiero lat 26. Osierocił żonę i pogrobowca.

Illustracya nasza przedstawia tę tragedyę.



Wiejska tragedya: Gunia morduje kosą broniącego matki Biernackiego.



Fotografia i klisza od Jabłońskiego i Ski.

Poświęcenie nowego kościoła w Krakowie: Ogólny widok nowego kościoła.

Poświęcenie nowego kościoła w Krakowie.

W ubiegły czwartek odbyło się w Krakowie poświęcenie nowego domu Bożego przy ulicy Łobzowskiej, wystawionego staraniem SS. Karmelitanek Bosych.

Karmelitanki Bose, wygnane z Poznania przez *Kulturkampf*, przybyły do Krakowa przed 30 laty (w r. 1875) i osiedliły się w małym niepokaźnym domku, z prywatną kapliczką, mieszczącą się w głębi starego ogrodu; zapomniane prawie przez wszystkich, odcięte od świata, pędziły Karmelitanki żywot spokojny i cichy. Nie zadowalniały się jednak niepokaźną kapliczką, ich marzeniem było wznieść wspaniały, o wielkich rozmiarach kościół.

Do upragnionego celu dążyły nadzwyczaj energicznie, popierane w uciążliwej swej pracy przez zamożniejsze rodziny, które czuły brak kościoła w tamtej dzielnicy i miały szczerą chęć brakowi temu zapobiedz. Wspólną żmudną pracą uzbierano potrzebne fundusze i rozpoczęto budowę nowego przybytku Bożego.

Praca około wystawienia klasztoru i kościoła trwała trzy lata. Dzieło zbliżało się zwolna ku końcowi, teraz wreszcie doprowadzono je do końca i oto w głębi wspaniałego ogrodu stanął nowy przybytek Boży pod wezwaniem św. Teresy.

Grupa budynków klasztornych oddzieloną jest od ulicy wysokim murem. Przez bramę wjazdową, mieszczącą się z boku kościoła, wchodzi się na mały spokojny dziedziniec klasztorny. Dziedziniec ten dzieli zabudowania klasztorne na dwie części. Po jednej stronie widzimy domek, przeznaczony dla kapelana wraz z mieszkaniem dla stróża, po drugiej znów mieści się zgrabny, jednopiętrowy budynek. Jest to mieszkanie furtyerek, usługujących przy furcie i załatwiających interesa zakonnic na mieście. Furta klasztorna nie otwiera się nigdy dla obcych, za specyalnem pozwoleniem udzielonem z konsystorza tylko dla lekarza lub kapelana.

Co do zewnętrznego wyglądu nowego kościółka zaznaczyć wypada, że prezentuje się nader sympatycznie, zrobiony z czerwonej cegły, przedzielonej miejscami pasami cegły białej, ozdobiony sarkofagiem św. Teresy, następnie godłami Karmelu, miły przedstawia widok.

Wnętrze kościółka ma kształt rzymskiego krzyża. Rozmaite rzeźby i malowidła przyczyniają się wielce do nader korzystnego sądu o wszystkiem, nie pozwalając zwracać uwagi na pewne braki w wyposażeniu wewnętrznem.

Przy wejściu do furty klauzulowej, uderza oczy skromne epitaphium, świadczące o twórcach tego gmachu, budowniczych Stryjeńskim i Mączyńskim. Idąc krużgangiem klasztornym, nie można nie zauważyć pięknych romańskich okien. Jedno z wejść



Herman Nothnagel: Zmarły onegdaj w Wiedniu słynny lekarz.



Nauczyciel ludowy archeologiem: P. Alfred Dworski wśród swoich wykopalisk.

prowadzi na chór, skąd można widzieć nieco bliżej sklepienie kościelne. Surowość i ścisłość zakonnych reguł nie pozwoliła na żadne zbytkowne i efektowne upiększenie, mimo to jednak wszystkie malowidła i rzeźby nie tracą nic na swej wartości. Pierwsze piętro klasztornego gmachu przeznaczone jest na mieszkania matek. Tutaj uderza nas przedewszystkiem skromność w urządzeniu, posunięta do tego stopnia, że oprócz całkiem zwykłego tapczana niema w całej celi żadnego sprzętu. Stół zastępuje wystająca deska okienna, przy której klęcząc, odmawiają zakonnice pacierze lub oddają się pracy. Skromność w urządzeniu idzie w parze z nadzwyczajną skromnością matek. Każda z nich wszystkie czynności załatwia sama, nie usuwając się od posług najniższych.

Styl wszystkich budynków zasadniczo romański, z nieznaczną domieszką koniecznej nowoczesności, która wskazuje, że budowa wzniesiona w obecnym wieku. Nowoczesność ta występuje raczej w użyciu i stosowaniu materyałów, aniżeli w zasadniczych formach stylowych.

SS. Karmelitanki, wiedząc dobrze, że fundusze składane pochodziły z polskich kieszeni, oddały z wdzięczności wszystkie roboty tak około kościoła jak klasztoru firmom polskim. Roboty kamieniarskie oddano K. Grochalowi, stolarskie M. Woronieckiemu i A. Niedzielskiemu, ślusarskie otrzymała firma Butelskiego, instalacye wodociągów i centralne ogrzewanie zaprowadził inżynier Nitsch. Witraże wykonano w pracowniach Ekielskiego i Tucha, inne roboty szklarskie otrzymał Czekajski. Jedyna lejarnia w Kałuszu A. Serafina otrzymała zamówienia na dzwony.

W numerze niniejszym podajemy dwa zdjęcia z nowowybudowanego klasztoru. Zdjęcia te oraz klisze wykonane zostały w zakładzie p. Jabłońskiego i S-ki w Krakowie. P. Jabłoński dowiódł nimi, że w dziale cynkotypii zakład jego nie tylko nie ustępuje zagranicy, ale ją nawet pod względem artyzmu wykonania przewyższa wyroby pozakrajowe.

Herman Nothnagel.

Zmarły przed paru dniami we Wiedniu prof. doktor Herman Nothnagel zasługuje dla swej rozległej wiedzy na obszerną wzmiankę pośmiertną. Z braku miejsca ograniczymy się tylko na paru słowach.

Prof. Herman Nothnagel urodził się 28 październnika 1841 roku w Lietzegörich w Brandenburgii. Czując już we wczesnej młodości nadzwyczajne zamiłowanie do medycyny, zapisał się na uniwersytet w Berlinie i tutaj słuchał wykładów takich profesorów, jak Reicherta, Du Bois Reymonda i Virchova. Pozyskawszy w roku 1863 stopień doktora wszech nauk lekarskich, przenosi się do Królewca, jako asystent Leydena. Tutaj pozostaje przeszło trzy lata. W czasie wojny prusko francuskiej miał sposobność rozwinąć swą niestrudzoną działalność i energię, za co powołany został z tytułem profesora uniwersytetu do Fryburga.

Fryburg opuszcza już w dwa lata później, bo rosnąca jego sława torowała mu drogę do nowych odznak i zaszczytów. W r. 1874 powołano go na dyrektora kliniki do Jeny. Lecz i tutaj nie pozostał długo, bo w parę lat później opuszcza Jenę wśród szczerego żalu żegnających go współkolegów, by dostąpić najwyższego zaszczytu — dyrektora kliniki w Wiedniu. Na tym posterunku wytrwał wiernie aż do ostatniej chwili. Wspólnie z prof. Bilrothem pracował niestrudzenie tak teoretycznie jak i praktycznie. Prof. Herman Nothnagel pozostawił kilkanaście znakomitych medycznych dzieł, jak: „Studien über die Funktionen des Gehirns“, „Topische Diagnostik der Gehirnkrankheiten“ i „Handbuch der Arzeneimittellehre“. Dzieła te pozyskały dla niego zasłużone uznanie, nic też dziwnego, że Wiedeń żegnał ukochanego profesora z niekłamanym żalem.

W ostatnich miesiącach zgasło dwóch ludzi, którzy w dziale medycyny wzbili się bardzo wysoko i pozyskali uznanie nietylko wśród swoich, ale wśród uczonych całego świata. Mówimy tu o śmierci prof. Mikulicza i prof. Nothnagla.

Podajemy obok portret zasłużonego profesora.



Poświęcenie nowego kościoła w Krakowie: Wejście do klasztoru. Fotografia i klisza od Jabłońskiego i Ski.

KRONIKA LWOWSKA.

(Mała rewolucya we Lwowie. — Sympatye dla „Słowa Polskiego“. — Kiosk i kantor. — Co wyleciało na ulicę. — Demolowanie. — Pończochy administratorki. — Sprawozdawcy. — Strejk budowlany. — Wakacye. — Słomiani wdowcy. Tingle we Lwowie. — Lwowski Prater. — Ruch na placu powystawowym. — Objaw sympatyi. — W restauracyi Tomickiego. — Na jak długo wystarczy jedna porcya kiełbasek. — Zbłąkane owieczki. — Nasze żony. — Pani mecenasowa u wód. — Elegancki Anglik. — Piękny prezent. — Suknia z koronkami. — Czułe pożegnanie. — Ten mąż... — Dwa rachunki. — Angielska podłość. — Pan Walichiewicz a lwowskie mamki i niańki. — Ozdoba wałów hetmańskich. — Interpelacya w radzie miejskiej. — O czem p. Walichiewicz zapomniał? — Pędzone karmicielki. — Pech najmłodszych obywateli. — Narodziny na ulicy. — Co mówi o tem antyspołecznik? — Najnowsza dykteryjka. — Państwo Z. oczekują... — Dwaj konkurenci. — Ciotka. — Gdzie zapadnie decyzya? — Nareszcie umarła. — Jazda na pogrzeb. — Powrót cichy. — Spuszczone story. — Nocne spacery. — W największym sekrecie. — Konkurenci w Kołobrzegu. — Pomyłka w testamencie).

Przez miasto nasze przeciągała mała rewolucya. Nasza policya, a raczej sami policyanci i szpicle dotychczas nie zdają sobie sprawy z tego, co to właściwie było. Mówiono im, że to bunt i rewolucya i trzeba uważać na pasaż Mikolasza, „Słowo polskie“ i pomnik p. Gołuchowskiego, więc uważali, spacerowali, tańczyli na koniach, cięli szablami, tratowali, aresztowali i pocili się jak nieboskie stworzenia. Główną opieką otaczali „Słowo polskie“, przed którego redakcyą biwakowali przez kilka dni i nocy. Dzięki też temu wszystkie nożyce redakcyjne są uratowane i żadnemu z współpracowników nic prócz kilku kamieni z głowy ani na głowę nie spadło. Mówią w mieście, że policya z niechęci do „Słowa“ za te liczne napaści nie dopuściła do urządzenia owacyi temu pismu. Ale demonstranci chcieli „Słowu“ koniecznie objawić swoje sympatye, więc gdy do redakcyi był wstęp zamknięty końskimi i ludzkimi policyantami, odwiedzili przynajmniej kiosk „Słowa polskiego“ w pasażu Mikolascha i kantor przy ulicy Tańskiej. Niestety — i te były zamknięte! Gorące jednak uczucie sympatyi nie zna zamków. W jednej chwili zdemolowano kiosk w pasażu Mikolascha, a niedłużej trwała owacya urządzona kantorowi przy ulicy Tańskiej. Wszystko, co było wewnątrz, a więc egzemplarze „Słowa“, książki, wydawnictwa, księgi rachunkowe, dopiero co rozpoczęte pończochy (robota ręczna) administratorki, okulary, ołówki itd., wszystko to znalazło się w jednej chwili na ulicy, budząc oburzenie u stróża tej kamienicy, który tłómaczył demonstrantom, że „przeci woni zapłacili z góry za czynsz, więc nie trzeba ich wyrzucać na wulicy“. Następnie przyjechała policya sprawdzić, czy istotnie coś zaszło, ale nie zastawszy już nikogo na miejscu zajścia, wróciła przed pomnik p. Gołuchowskiego, do pasażu Mikolascha i przed redakcyę „Słowa polskiego“.

Nazajutrz panna sprzedająca w kantorze ogromnie się ucieszyła, gdy znalazła na ulicy dopiero co rozpoczęte pończochy (robótka ręczna) i dziwiła się wielce, że „rewolucyoniści“ nie odważyli się zabrać ze sobą tak potrzebnej rzeczy.

„Słowo polskie“ nie wysłało nawet swych specyalnych sprawozdawców dla opisania zajścia, ale przedrukowało to, co o tem inne dzienniki napisały, przypisując całą hecę socyalistom, pomimo, że ci nie brali nawet udziału w demonstracyi i o jej zamierzeniu (jeżeli wogóle była zamierzona — bo wszystko stało się odruchowo) nic zgoła nie wiedzieli.

Taksamo fałszywie łączono tę demonstracyę z obecnym strejkiem budowlanym, bo strejkujący w czasie demolowania kiosku i kantoru byli już dawno w domu.

Strejk budowlany jest jednym z najpoważniejszych w ostatnich latach i może być nieobliczalnym w skutki, jeśli się szybko nie zakończy ugodą. Pracodawcy, jak zwykle, naciągają strunę, niebaczni, że skutki mogą być fatalne.

W ubiegłym tygodniu zamknięto wszystkie szkoły i młodzież rozjechała się na wakacye. Z tym dniem rozpoczyna się właściwy sezon martwy, co znać w mieście na każdym kroku. Cały „górny“ Lwów wyjechał. W mieście zostali tylko ci, którzy zostać musieli. Zaroiło się od słomianych wdowców, którzy nareszcie raz odpocząć mogą w trzech specyalnie dla nich obecnie urzędujących tinglach (Colosseum, pasaż Mikolascha i ogród saski) i wreszcie w niedzielę popołudniu na placu powystawowym, który od dwóch lat jest w niedzielę popołudniu dla Lwowian Praterem. Całe miasto przenosi się na plac powystawowy, gdzie naturalnie każdej niedzieli odbywa się jakiś festyn. Znajdziesz tam i hofratów i oficerów i urzędników różnych dykasteryj, akademików i studentów szkół średnich i panny służące, krawczynie i panny sklepowe, rzemieślników, przemysłowców, artystów — słowem wszystkie stany reprezentowane są na placu powystawowym, w niedzielę popołudniu w sezonie martwym, który się wcale martwym nie wydaje, bo wre tam i kipi, jak w ulu. Dwie kapele wojskowe rżną od ucha, naród rozbawiony pije piwo w restauracyi Tomickiego, stawia na „koło szczęścia“, ciągnie losy, kokietuje, nawiązuje stosuneczki. Szeroka zabawa za tanie pieniądze na całej linii. Zbłąkane owieczki przechadzają się parami, wyrażają temu lub owemu swoją sympatyę przez obrzucanie papierkami *confetti*, co się w Galicyi tak przyjęło, jak secesya i defraudacye. U Tomickiego pomimo setki stolików nie znajdziesz miejsca. Najwięcej odchodzą kiełbaski, prawdopodobnie dlatego, że wystarczy je raz zjeść, ażeby o nich do następnej niedzieli pamiętać.

Tak tedy bawimy się i uprzyjemniamy sobie ten najprzykszejszy sezon, podczas gdy żony nasze czerpią siły u wód a pieniądze u mężów i pamiętają o nas.

Jest tu pewna żona mecenasa co słynie z urody i z tego, że lubi by ją podziwiano. Powiadają, że rewanżuje się mężowi za to, że od czasu do czasu pozwala sobie zbaczać z prostej drogi, po której pismo święte każe kroczyć cnotliwym małżonkom. Ta tedy piękna a okrutna czarnooka wybrała się nad morze, zostawiając męża z dziećmi na gospodarstwie we Lwowie. Tam poznała już po kilku dniach nie tyle przystojnego, ile eleganckiego Anglika, który mieszkał w tejsamej willi i odrazu stał się nieodstępnym towarzyszem pięknej mecenasowej. Schlebiało jej to, że bogaty lord angielski z pośród tylu pięknych kobiet ją jedną wyszczególniał... Zażyłość tych dwojga kuracyuszów była już bardzo wielka, skoro bogaty anglik zaproponował pięknej mecenasowej przyjęcie podarunku, pamiątki, zostawiając jej wybór.

Pamiątka, to chyba nic zdrożnego, powiedziała sobie piękna pani. ale długo nie mogła się zdecydować, co ma być ową pamiątką po tak sympatycznym towarzyszu. I nie można się dziwić, że piękna kobieta lubująca się w strojach, wybrała suknię... W dzień przed wyjazdem mecenasowej przyniesiono z największego magazynu piękną czarną suknię z takiem bogactwem przepysznych koronek, że mecenasowej żal było poczciwego anglika, który zapewne grubo zapłacił za to arcydzieło pomysłu krawieckiego. Można sobie wyobrazić, że pożegnanie było bardzo czułe. Oboje dali sobie słowo honoru, że już w najbliższym sezonie zobaczą się w tem samem miejscu. I wróciła pani mecenasowa do Lwowa. Mężowi powiedziała po czułem przywitaniu, że przywozi mu prawdziwą niespodziankę: zaoszczędziła tyle, że z samych oszczędności kupiła wspaniałą suknię. Mąż był zachwycony, ale i zmieszany trochę... On bo tu także nie próżnował... Poznał, jako słomiany wdowiec, produkującą się obecnie murzynkę. Był mu w tem pomocnym jeden z dyrektorów, czy coś podobnego. I murzynka prosiła o drobną pamiątkę, np. suknię. Jakże odmówić? Bierz a poszlij mi rachunek do kancelaryi. Właśnie przyszedł rachunek, ale jak słony... 800 koron! Oj, te murzynki — krzyknął do swojej duszy p. mecenas i polecił pisarzowi wyrównać rachunek, bo sam był tak zafrapowany z powodu przyjazdu żony, że gotowa się domyśleć wszystkiego. W dzień potem przychodzi panienka z rachunkiem na 300 koron. Wiecie. że to oszaleć można — przecież dopiero przedwczoraj kazałem wypłacić 800 koron. Na nieszczęście była teraz obecną pani mecenasowa... Pisarz wyjaśnił, że poprzedni rachunek był z zagranicznego jakiegoś magazynu, a teraźniejszy z tutejszego. Mecenasowi rozum stanął dęba. pani mecenasowa oglądnąwszy zagraniczny rachunek, zemdlała. O rachunkach w domu pp. mecenasów więcej nie mówiono... Pani mecenasowa ma o anglikach najgorsze pojęcie.

Jeszcze gorsze pojęcie mają wszystkie lwowskie kucharki, pokojówki, mamki i niańki o radnym p. Walichiewiczu. Wszystkie one wysiadywały całemi godzinami na wałach hetmańskich w towarzystwie niższych reprezentantów armii lub cywilów zabawiających się rozmową na temat dowolny. Stanowiły one żywą i cenną ozdobę wałów hetmańskich a ich pstre stroje na brudnem tle gmachu dyrekcyi skarbowej widziane np. z ulicy Karola Ludwika, przedstawiały widok nietyle może wielkomiejski, ile piękny, sielankowy...

Jakoś swojsko i przyjemnie jest na naszych wałach, gdzie rozmaitej tuszy karmicielki najmłodszego pokolenia siedzą roztasowane na ławkach, karmiąc ten drobiazg, jakby w domu, jakby w sypialni dla dzieci. Tam schodzą się wszystkie mamki i niańki z śródmieścia tam omawiają sprawy bieżące, tam zaznajamiają się, tam mają swoje kasyno. I żadnemu z radnych nie przyszło na myśl sprzeciwić się temu, aż pan Walichiewicz pierwszy interpelował prezydenta, dlaczego pozwala na takie kasyno przy najpiękniejszej ulicy miasta i czy zamierza je stamtąd usunąć. Pan Walichiewicz zapomniał jednak, że on sam w pierwszych miesiącach swego życia także nie pił pilznera, ale prawdopodobnie „używał“ mamki i że mamki nie są znowu tak błahym stanem, którymby pomiatać wolno, pędząc je z wałów gubernatorskich na hetmańskie, a z wałów hetmańskich tam, gdzie pieprz rośnie i gdzie kozy kują. Tymczasem pan prezydent uspokoił pana Walichiewicza, przyrzekając mu znaleźć dla mamek stosowniejsze miejsce. O wiele lepiej jednak uczyniłby p. Walichiewicz, gdyby zamiast owych najmłodszych obywateli wziął w swoją radziecką opiekę starszych, np. tych, których współobywatele wysyłają do grobu, zabierając im zajmowany od lat kilkudziesięciu lokal sklepowy, o czem p. Walichiewicz mógłby coś ciekawego powiedzieć...

Inni dwaj najmłodsi obywatele mieli w ubiegłym tygodniu ten pech, że urodzili się na ulicy. Jeden z nich na ulicy Łyczakowskiej, drugi obok kawiarni wiedeńskiej. W obu wypadkach pomocną była naprzód policya, potem stacya ratunkowa. Jeden z antyspołeczników, który przypatrywał się aktowi urodzin obok kawiarni wiedeńskiej przy pomocy policyanta, zauważył gorzko:

— Zaledwie biedak przyszedł na świat a już wpadł w ręce policyi — to tylko w Austryi możliwe!

Na szczęście nikt tego z policyi nie usłyszał, na nieszczęście słyszeliśmy to już dawniej. Ale to nie szkodzi...

Zresztą cicho, pusto, żadna nowina, żadna senzacya, nic, o czemby pisać było warto.

Ale przepraszam... Byłbym zapomniał o najnowszej dykteryjce, która kursuje po Lwowie od dni kiku. Państwo Z., którzy należą do towarzystwa i „bywają“, znaleźli się uagle w kłopotach finansowych. Dotychczas puszczano, ile można było, bo ciotka, która od kilku lat przyrzeka umrzeć, miała podobno zapisać okrągły milionik. Już w tym karnawale państwo Z. gonili ostatkami, bo nie ulegało wątpliwości, że ciotka na wiosnę skwituje. Jedyna córeczka państwa Z. miała aż dwóch konkurentów do wypieszczonej swej rączki i długo nie mogła się zdecydować, kogo wybrać. Minęła zima i wiosna a panna Z. każdemu z dwóch konkurentów kazała czekać do lata. W Kołobrzegu, dokąd wybierze się rodzina, zapadnie decyzya. A zatem obaj mają przyjechać na lato do Kołobrzegu. Amerykańskiego pojedynku nie żądała. Szkoda dwóch przystojnych chłopców, obaj mają nazwiska, choć obaj — przepraszam za wyrażenie — strasznie goli. Tymczasem ciotka nareszcie dotrzymała słowa. Przed dwoma tygodniami Pan Bóg powołał ją do swojej chwały. Umarła u siebie na wsi w zachodniej Galicyi. Państwo Z. uzbroili się w łzy i żałobę i wyjechali na pogrzeb. Był to już najwyższy czas, bo i na tę smutną podróż trzeba było pożyczyć... Ale czego człowiek nie robi dla rodziny! Pojechali a wszystkim znajomym i sąsiadom zapowiedzieli, że stamtąd wyjeżdżają do Kołobrzegu, a potem do Ostendy. Poczyniono nawet w mieście liczne zakupy przed podróżą na pogrzeb i do wód...

Przed tygodniem wrócili do Lwowa prawie niespostrzeżenie. W oknach pospuszczano story, państwo Z. nie wychodzą z domu, drzwi stale na klucz zamknięte. Dwaj rywale czekają w Kołobrzegu na decyzyę panny Z.

Tylko późno w nocy wychodzi mała rodzina na spacer do parku stryjskiego lub na wysoki zamek na godzinkę. Około godziny 1 w nocy wracają. Czynią wszystko możliwe, ażeby znajomi nie wiedzieli, że nie wyjechali. Wszyscy krewni, przyjaciele i znajomi już wiedzą i opowiadają sobie o tem w największym sekrecie... A panowie konkurenci niecierpliwie czekają w Kołobrzegu na decyzyę i nie domyślają się nawet, że ta stara, dziwaczna nieboszczka ciotka pomyliła się fatalnie w swoim testamencie...

Kl.

Kącik humorystyczny.

Wyraźna odprawa.

— Wierzaj pani, że kocham ją szalenie!

— Szczęśliwyś pan, że już kogoś kochasz — ja jeszcze nie.

Wyrwał się.

Egzaminator: Jaką chorobę ma pan za najbardziej złośliwą?

Student: Pragnienie!





Z wojny ros.-jap.: Pełnomocnicy japońscy przy rokowaniach pokojowych.
Baron J. Komura, jap. minister spraw zagran. Kogoro Takahira, jap. poseł w Waszyngtonie.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

(Rokowania pokojowe. a operacye wojenne. – Zajęcie Sachalinu przez Japończyków. — Sachalin i jego historya. — Prasa rosyjska o kapitulacyi Portu Artura.—Nowe szczegóły o nadużyciach w Porcie Artura. – Niemirowicz-Danczenko o wojnie. – Ślepa wojna. — Rokowania pokojowe. – Odszkodowanie wojenne. — Koszta wojen współczesnych, — Koszta wojny rosyjsko-japońskiej.— Pensye wodzów.—Ładna proporcya. — Nasze illustracye).

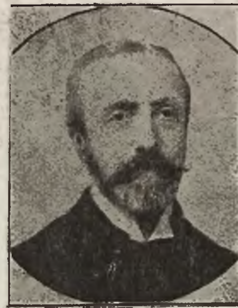
Chociaż pełnomocnik Japonii przy rokowaniach pokojowych, minister Komura, wraz z innymi delegatami pokojowymi wyjechał już do Ameryki i chociaż pewien jest, że rokowania wojenne teraz na pewno się rozpoczną, to operacye wojenne na placu boju nie ustają, a Japończycy nietylko rozpoczęli w Mandżuryi nową ofenzywę, ale także z początkiem lipca zaatakowali Sachalin, i dziś już ta wyspa prawie, że w ich znajduje się ręku. Atak ten zmienia całą dotychczasową akcyę wojenną i wpłynie niezawodnie na ułożenie warunków pokojowych przez Japonię, gdyż dotychczas wojna toczyła się zawsze jeszcze na terytoryum obcem i Japończycy nie wkroczyli na ziemię rosyjską. Zająwszy Sachalin, zajęli już tem samem część ziemi rosyjskiej, a mając tę wyspę w swym ręku, łatwo się już mogą zwrócić od strony morza ku Władywostokowi, ku któremu i od strony lądu dążą znaczne siły japońskie.

Długa, a wąska wyspa Sachalin, położona pomiędzy 46 a 55 stopniem półn. szer., naprzeciw ujścia Amuru, oddzielona jest od Mandżuryi cieśniną Tatarską, zaś od japońskiej wyspy Yezo cieśniną La Peyrouse. Ta ostatnia, będąc nader wąską, posiadając strome brzegi, mnóstwo podwodnych raf i dno skaliste, w które nie można zarzucić kotwicy, jest dla okrętów bardzo niebezpieczną. Podczas lata zrywają się tu gwałtowne burze, zmuszające okręty szukać ratunku w ucieczce na Ocean, gdyż na całem wybrzeżu niema ani jednej bezpiecznej przystani.

Nazwa Sachalin pochodzi podług Humboldta od *Sakhalian angga khada,* co oznacza „skała czarnego ujścia". Japończycy zwą ją „Karafto", a zamieszkujące ją plemiona tubylcze „Taraikai".

Długość Sachalinu, w kierunku z południa na północ, wynosi 600, szerokość od 30 do 160 klm.; powierzchnia zaś 76.000 klm. kwadratowych. Przerzynające wyspę z północnego wschodu na południowy zachód pasmo gór (najwyższy szczyt Ktensi 1580 m.) wygląda jak olbrzymia, zastygła fala. Brzegi wyspy, porosłe gęstym lasem, są wysokie, urwiste i nieprzystępne, a na ich zboczu ciągną się zygzakami warstwy żółtej gliny, ciemno-szare węgle i białe piaskowce, gdzieniegdzie zaś przegląda ruda żelazna. A na wierzchu — tajga. Wierzchołki sosen wydłużyły się w kierunku wiatru, jak dym z komina; zdaje się, że olbrzymy te wyciągają ręce i usiłują uciec od brzegu strasznego, od tego zimnego morza i wiatru. Wegetacya jest mieszaniną roślin arktycznych i strefy umiarkowanej, przejściem pomiędzy florą japońską, a syberyjską. Obecność okazów roślin japońskich wskazuje na to, że panował tu poprzednio łagodniejszy klimat, prawdopodobnie wpływał na to ciepły prąd morski Kuro-Siwo. Obecnie opływają wyspę dwa zimne prądy, a w zimie panują ponadto mroźne wiatry północne.

Obok wybrzeża jest więc klimat nader ostry i śnieg pada tu do końca maja. Więcej ku środkowi, a zwłaszcza na wyżynach jest cieplej, w dolinach natomiast panują dotkliwe zimna. Na zachodniem wybrzeżu wynosi przeciętna temperatura w lipcu 27⁰ Cel., w styczniu — 39⁰; wewnątrz wyspy dochodzi zimno do — 48⁰! Zima jest bardzo długa, trwa bowiem od października do końca maja. W lecie panują gęste mgły.





Z wojny ros.-jap.: Pełnomocnicy rosyjscy przy rokowaniach pokojowych.
Baron R. R. Rosen, ros. poseł w Waszyngtonie. N. W. Murawiew. ros. poseł w Rzymie.

W głębiach Sachalinu spoczywa mnóstwo ukrytych bogactw, jak węgiel, nafta i żelazo. Mówią także, że jest tam i złoto.

Japończycy twierdzą, że Sachalin włączony został formalnie do państwa japońskiego już w r. 1799 i że w pięć lat dopiero potem przybyła tam rosyjska ekspedycya Lezanowa, który po odmówieniu przez Japonię ustępstw handlowych na rzecz Rosyi, zajął Sachalin i Iturup i zaczął w nich po swojemu przez czas jakiś gospodarować.

W r. 1808 podróżnik japoński Rinzo Mamiya po raz pierwszy stwierdził, że Sachalin jest wyspą, o czem Laperouse wiedział już w r. 1788. Rinzo Mamija nie spotkał nigdzie Rosyan; wycofały się stamtąd niebawem i oddziały szoguna japońskiego. Wyspę objął w posiadanie dajmjo z rodziny Matsumaye w r. 1821.

Dopiero w r. 1849 z polecenia hr. Murawiewa wkroczył na Sachalin kapitan Newilskoj i założył pierwszy rosyjski port na zachodniem wybrzeżu pod Dui.

W pierwszym japońsko-rosyjskim traktacie, zawartym przez admirała Putiatina w r. 1853 nie było wcale mowy o Sachalinie, Rosyanie zaczęli jednak od tej pory badać wnętrze wyspy i odkryli tam kilka kopalń węgla.

Po wojnie krymskiej Rosya zwróciła zdwojoną uwagę na Ocean Spokojny. W r. 1859 hr. Mura-

Z wojny ros.-jap.: Obóz japoński w Mandżuryi w przededniu wielkiej bitwy.



Z wojny ros.-jap.: Epizod z haniebnego odwrotu Rosyan z nad rzeki Szaho.

z Rosyą. Zdanie Kurody wzięło górę, wskutek czego Soyejima ustąpił.

Następca Soyejimy, minister Munenori, wysłał do Rosyi wiceadmirała Enomoto z propozycyą odstąpienia Sachalinu w zamian za odstąpienie Japonii prawa zwierzchnictwa nad wyspami Kurylskiemi, za odszkodowania z tytułu zbudowania przez Japonię gościńców i innych urządzeń, a wreszcie za przyrzeczenie opieki na rybakami japońskimi. Książę Gorczakow wahał się długo, w końcu jednak, przynaglony wypadkami bałkańskimi, podpisał odnośny traktat 7-go maja 1875 roku.

Traktat ten obowiązywał do chwili wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej. Obecnie wkroczenie wojsk japońskich na Sachalin wytwarza fakt dokonany, który baron Komura i hr. Murawiew, pełnomocnicy Japonii i Rosyi, przy rokowaniach waszyngtońskich będą musieli wziąć pod uwagę.

wiew osobiście przybył do Yedo (dzisiejsze Tokio) na okręcie wojennym i zażądał, aby cały Sachalin uznany został za rosyjską własność, powołując się przytem na traktat z Chinami, zawarty w r. 1858. Dyplomaci ówczesnego szoguna oparli się jednak żądaniom Murawiewa; dopiero w r. 1861 poselstwo japońskie, wyprawione do Europy, upoważnione zostało do odstąpienia Rosyi Sachalinu powyżej 50⁰ szerokości. Rokowania toczyły się przez lat kilka. Wreszcie poseł szoguna, wyprawiony do Petersburga, podpisał umowę, na podstawie której władzę w Sachalinie sprawować miał mieszany rząd rosyjsko-japoński. Zanim wszakże poseł powrócił do Japonii, szogunat już został obalony.

Dla spraw, odnoszących się do Sachalinu, cesarz Matsuhuhito wyznaczył 1869 r. osobną komisyę, na której czele stanął Kiyotoko Kurode. W r. 1871 radca stanu Soyejima wysłany został do zatoki Possjeta, aby w sprawie Sachalinu rozmówić się z rezydującemi tam władzami rosyjskiemi. Zarówno jednak jego usiłowania, jak i usiłowania wysłanego do Petersburga poselstwa, były bezskuteczne. Rosyanie tymczasem urządzili w Aleksandrowsku siedzibę władz sachalińskich i posunęli się ku południowym częściom wyspy, zajętym przez rybaków japońskich.

Wkrótce potem Soyejima został ministrem spraw zagranicznych. Dowiedziawszy się, że Rosya sprzedała Alaskę Stanom Zjednoczonym, wpadł na myśl odkupienia od rządu rosyjskiego pretensyi do południowej części wyspy za cenę 2 milionów „rio“. Sprzeciwiał się temu zamiarowi dyrektor władz japońskich na Yeso i Sachalinie Kurode, który był za tem, aby wyrzec się wyspy o zmiennym klimacie i nieurodzajnej ziemi, która w dodatku zawsze mogła dać powód do niebezpiecznych nieporozumień

Kapitulacya Portu Artura stanowi przedmiot żywych roztrząsań w prasie rosyjskiej. Z dniem każdym wychodzą na jaw nowe szczegóły, które na dowódców, zwłaszcza na gen. Stoessla, przykre rzucają światło. W Porcie Artura dokonywano bowiem nadużyć takich, że wprost uwierzyć trudno, że takie rzeczy dziać się tam mogły. Jedno z pism rosyjskich „Razswiet“ drukuje od pewnego czasu listy swego korespondenta z Szanghaju, wyświetlające nadużycia rozmaitych osób w Porcie Artura.

Między innemi, korespondent donosi, że w Szanghaju wydawane były rozmaite fałszywe dokumenty na dostawione jakoby do Portu Artura rozmaite przedmioty przed wojną i podczas niej, nie krępując się sumą choćby dochodzącą do milionów, żądając dla siebie 10 procent.

Korespondent nie wymienia na razie nazwisk osób, które nadużycia te popełniały, dodaje tylko



Z wojny ros.-jap.: Jak wygląda szturm na ufortyfikowane wzgórze: Piechota japońska zdobywa szturmem jedno z najwarowniejszych wzgórz koło Mukdenu.

że osoby te należą do intendantury oraz morskiego i wojenno-inżynierskiego zarządu.

Gen. Stoessla, korespondent oskarża o to, że ani razu nie pokazał się na pozycyach podczas bitw i siedząc u siebie w domu, nie zwracał najmniejszej uwagi na cierpiący nędzę garnizon.

Żołnierze chodzili bosi, goli i zgłodniali i to wówczas, gdy składy intendantury załamywały się wprost od nagromadzonych zapasów ubrania, obuwia i artykułów spożywczych.

Mięsa świeżego wprawdzie w zapasach tych nie było, lecz była za to dostateczna ilość konserwów mięsa solonego. Jak wielkie zresztą były zapasy żywności, świadczyć może fakt, że od dnia kapitulacyi upłynęło już 5 miesięcy, a zapasy jeszcze dotąd nie zostały rozsprzedane.

Tak nadzwyczajną oszczędność, zmuszającą żołnierzy do chodzenia o głodzie i boso, objaśnia korespondent tem, że wszystkie te zapasy na bardzo znaczne sumy, były. według ksiąg i dokumentów. już dawno zużyte, oddanie ich więc na potrzeby garnizonu mogło wywołać nieprzyjemne dla osób zainteresowanych dochodzenie sądowe.

W końcu korespondent oskarża niejakiego Cymermenia, że za jego protekcyą, uwolniono przeszło 4000 żydów rezerwistów od służby i ci ostatni zdobywszy majątki, zamieszkują obecnie stale w Szanghaju.

Słynny korespondent wojenny rosyjski Niemirowicz Danczenko, który bardzo surowo krytykował postępowanie dowódców rosyjskich na Dalekim Wschodzie i zmuszony był opuścić nawet kwaterę Kuropatkina właśnie z powodu swoich fejletonów wojennych w „Russ. Słowo“, drukuje obecne swoje opowiadania pt. „Ślepa wojna“. Między innemi pisze on tam:

„Na wojnie stosowaliśmy właściwie taką samą taktykę, której trzymamy się i u siebie w domu: działaliśmy nahajką i pisaniem dokumentów.

Nahajka spacerowała po plecach chińczyków, dokumenty zaś — po rosyjskich sztabach.

Raportów, doniesień, okólników i odkrytek możnaby zebrać całe góry. lecz armia wskutek tego tylko przegrywała. W tej ślepej wojnie na widzących patrzano jak waryatów i tak samo jak podczas pokoju panował zabobonny strach przed niespokojnymi ludźmi.

— Czego krzyczycie gwałtu? To nie wasza rzecz. Naczelnicy wiedzą, co i jak.

Dobrzy byli również i generałowie, do których nie dopuszczano wywiadowców w nocy dlatego, że ich ekscelencya śpi, w dzień zaś dlatego, że spożywa śniadanie, obiad lub odpoczywa.

Nareszcie udaje się złowić go.

— Na miłość boską, nie niepokójcie go, dzisiaj go gorzej bolą nerki.

Czy przeszła już u wyższej „władzy“ ta choroba, my nie wiemy, lecz zato wiemy napewno, że przegraną wojny zawdzięczamy zarówno nerkom dowódców jak i nahajkom żwawych dońców i braku zaufania do wszystkich i do wszystkiego. Na gruncie braku zaufania stworzono swój własny system i w imię jego stawiano na kartę życie setek tysięcy ludzi.“

Jak wspomnieliśmy na początku artykułu, rokowania pokojowe, dzięki usiłowaniom prezydenta Roosevelta, przyjdą nareszcie do skutku. Pełnomocnicy japońscy i rosyjscy wyjechali już w tej sprawie do Waszyngtonu. Główny szkopuł w układach stanowić będzie, jak się zdaje, kwestya odszkodowania wojennego. Japonia bowiem, zwycięska i na lądzie i na morzu, żądać będzie stosunkowo wielkiego odszkodowania, na co się Rosya prawdopodobnie nie będzie chciała zgodzić. Japonia ma jednak za sobą prawo i słuszność. Wojna bowiem kosztowała ją sporo, osłabiła w każdym razie państwo, musi więc być należycie wynagrodzoną.

Wojny współczesne kosztowały ogółem ogromnie dużo. Według obliczeń „Neue Militarische Blätter“ 26 miesięcy kampanii krymskiej kosztowały Rosyę 3 i pół miliarda.

35 dni wojny prusko-austrackiej kosztowały Prusy 35 milionów,

Wojna w r. 1870 kosztowała Niemcy $1^1/_2$ miljarda, Francyę $2^1/_2$ miljarda franków.

Wojna rosyjsko-turecka kosztowała Rosyę 3 miljardy, wojna z boerami kosztowała Anglię 5 miljardów.

Wojna japońsko-chińska kosztowała Japonię w ciągu 8 miesięcy 110 milionów.

Co do toczącej się obecnie wojny, to o kosztach jej rozmaite krążą wersye. Najprawdopodobniejszem wydaje się obliczenie biura statystycznego „Credit Lyonnais“. Według niego Rosyanie wydali w obecnej wojnie 2.200.000.000 franków, Japończycy zaś 1.800.000.000 franków,

Już w jednym z poprzednich numerów wspominaliśmy o pensyach admirałów rosyjskich i japońskich. Obecnie pisma angielskie podają dokładny wykaz, jakie pensye pobierają generałowie japońscy.

Według doniesień urzędowych, marszałek Oyama otrzymuje 8.015 rub. generał Noghi — 5.400 rub., generał Kuroki — 5.150 rub., generał Nodzu — 4.900 rub., admirał Kamimura — 4.065 rub., generał Chasegava — 4.025 rub., a wszyscy razem — 31.515 rubli.

Admirał Togo, otrzymujący dotychczas, jak wiadomo, 5.600 rub., po bitwie pod Cuszimą otrzymał podwyżkę w sumie 2.145 rub., pobiera więc tyleż co Oyama, t. j. 8.015 rubli.

Weźmy teraz pod uwagę pensye dowódców rosyjskich.

Admirał Aleksiejew do ostatnich czasów, t. j. do chwili otrzymania dymisyi pobierał 120.000 rb., generał Liniewicz pobiera 150.000 rub., generał Kuropatkin 110.000 rub. i t. d.

Ładna proporcya!



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy udzielają pierwszej pomocy rannemu żołnierzowi rosyjskiemu, wziętemu do niewoli.



Z wojny ros.-jap.: Mikado japoński.



Z wojny ros.-jap.: Szpiegowie japońscy, przebrani za Chińczyków, złapani przez Rosyan, w drodze do głównej kwatery rosyjskiej.

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografie pełnomocników Rosyi i Japonii przy rokowaniach pokojowych. Pełnomocnicy ci ze strony Japonii pozostali ci sami. Rosya jednak w ubiegłym tygodniu rozmyśliła się i odwołała Murawiewa, a pełnomocnictwo swoje poruczyła w ręce Wittego. O przyczynach tej nagłej zmiany różne krążyły wieści. Mówiono, że Murawiew zażądać miał bajecznej sumy pieniężnej na koszta podróży do Ameryki i na koszta reprezentacyi, co się nie spodobało carowi. Druga wersya o wiele prawdopodobniejsza, przyczynę zmiany upatruje w osobistych przekonaniach Murawiewa i Wittego. Murawiew jest zwolennikiem dalszego prowadzenia wojny, stawiałby więc podczas rokowań warunki dosyć ciężkie, na które się Japonia nie zgodzi. Warunki japońskie są ciężkie, ale pełnomocnicy mają rozkaz w razie najmniejszego uporu ze strony rosyjskich pełnomocników natychmiast zerwać rokowania i odjechać do Japonii. Witte znany zaś jest jako przeciwnik dalszego prowadzenia wojny i wogóle z więcej liberalnego usposobienia. To miało być przyczyną, że w ostatniej chwili car powierzył mu pełnomocnictwo, co w całej prasie rosyjskiej z wielkiem przyjęto zadowoleniem.

Konferencya pełnomocników rosyjskich i japońskich w sprawie zawarcia pokoju odbędzie się w Ameryce, w miejscowości Portsmouth. Miasto to leży nad ujściem rzeki Piscataqua, liczy około 12.000 mieszkańców i posiada wyborny, głęboki, aż w środek lądu stałego wrzynający się port. W porcie tym rząd amerykański założył przed kilku laty olbrzymie doki dla budowy i naprawy okrętów. Całe wybrzeże atlantyckie od Maine do New-Yersey zasiane jest miejscowościami, wybranemi na pobyt letni i kąpielami morskiemi. Portsmouth leży w ich środku i zajmuje wybitne miejsce, jako amerykańskie letnisko. Najbardziej odwiedzane są kąpiele morskie, położone w pobliżu Portsmouth, jako to: Newcastle, Rey-Beach, Hampton-Beach. Wiele rodzin zamożnych posiada w Portsmouth wspaniałe wille, w których w czasie sezonu odbywają się *garden-parties* i t. p. Najbardziej ulubionem miejscem wycieczek letnich jest *Isles of Shoals*, wyspy, położone o 10 minut drogi od wybrzeża, owiane chłodem Atlantyku i połączone nieustannie kursującymi statkami spacerowymi ze stałym lądem. Portsmouth leży o dwie godziny drogi koleją od Bostonu. W Portsmouth internowany był hiszpański admirał Cervera, wzięty do niewoli przez admirała amerykańskiego Schley'a po bitwie morskiej pod Santiago di Cuba.

Narady wysłanników odbędą się w gmachu administracyi doków rządowych w Portsmouth, położonym na wyspie. Miejsce to wybrano umyślnie, aby członków konferencyi zabezpieczyć od wszelkich wpływów zewnętrznych. — Członkowie konferencyi mieszkać będą w hotelach w Portsmouth. Przybycia pełnomocników japońskich oczekują dnia 23 lipca w Seattle, a 28 lipca w Nowym Jorku, przybycia pełnomocników rosyjskich oczekują 2 sierpnia w Nowym Jorku. Natychmiast po ich przybyciu, tego samego dnia przesiędą się pełnomocnicy na dwa jachty: japońscy na jacht „Mayflower", rosyjscy na jacht „Delphin" i udadzą się ku Osterbay, ażeby powitać prezydenta Stanów Zjednoczonych w jego letniej siedzibie nad morzem. P. Roosevelt zapozna delegatów japońskich z rosyjskimi, poczem pełnomocnicy na dwóch krążownikach odpłyną do Portsmouth.

Czy jednakże pokój będzie już zawarty, o tem przesądzać dzisiaj jeszcze nie można.

Illustracye, jakie podajemy w dzisiejszym numerze, tłómaczą się same przez się. Nie będziemy więc o nich pisali.



Z wojny ros.-jap.: Sergiusz Juliewicz Witte.

ZE ŚWIATA.

(Podróż do Lwowa. – Cygarniczka i tunel pod Kamionką. – Opowiadanie wygodnego jegomościa. — Spotkanie na dworcu sądeckim.— Nieco o Lwowie. — Pobyt w Lubieniu. — Dworzec kolejowy we Lwowie a w Krakowie. — Koniec urlopu).

Przepędziwszy dwa tygodnie „za światem", w górach, gdzie echo grzmotu jest jedynym prawie echem „ze świata", wybrałem się wreszcie w podróż do Lwowa. Była to ogromna senzacya dla całego otoczenia mojego. Urosłem na bohatera. Pani domu, która nigdy w swojem życiu nie puszczała się dalej, jak do Sącza, zaopatrzyła mnie na drogę w prowianty tak obficie, jak gdybym jechać miał do Mandżuryi. Pan domu, który właśnie czytał jakąś historyę o rzezimieszkach kolejowych, przestrzegał mnie przed złodziejami, napominając mnie surowo, ażebym uważał zwłaszcza na moją „portugalię" w tunelu pod Kamionką.

— Mówię to z doświadczenia — zakończył gospodarz domu. — Niedawno ukradziono mi tam piankową cygarnicę, którą otrzymałem od moich przyjaciół jako upominek w dwudziestą piątą rocznicę mojego pocztmistrzowstwa.

— Nie trzeba było w Sączu wdawać się z Bachusem, to byłbyś nie zgubił cygarniczki — zauważyła pani domu.

— Nie zgubiłem cygarniczki — zawołał pan domu. — To nie prawda! Ukradziono mi ją w tunelu. Mam nawet podejrzenie na pewną osobę.

— Na kogo? — zapytała żona.

— Na wikarego! – wybuchnął rozżalony pan domu. — On jest amatorem piankowych fajek i cygarniczek i on mi ją z pewnością „świsnął". Przeniesie się do innej parafii i będzie tam paradować z moją cygarniczką.

— Tak? — odrzekła pani domu — No to ja ci zaraz wyjaśnię tajemnicę kradzieży i udowodnię, jak jesteś prawdomownym.

Wyszła do drugiego pokoju i powróciła po chwili, niosąc w ręce jubileuszową cygarnicę.

— Zapomniałeś ją u Oleksego, u którego musiałeś dobrze się bawić. Poczciwy pan Dominik przysłał ją pocztą.

Gospodarz domu pomimo kompromitacyi, która go spotkała, uradował się odzyskaniem pamiątki i zmusił mnie z tego powodu do wypicia nowej butelki wina. Wreszcie zajechał wózek góralski i zabrał mnie na dworzec. Po drodze zastanawiałem się nad tem, jaką cenę musiałby za jazdę zapłacić np. pan Staszczyk, jeżeli ja, nie ważący więcej nad 120 funtów, musiałem za kilometer drogi zapłacić 3 korony. Przed dworcem wyłudził jeszcze poczciwy góral odemnie 20 halerzy na piwo i kilka „papirusów", poczem już bez przeszkody ulokowałem się w wagonie. Zaledwie pociąg ruszył, jakiś jegomość, siedzący dla własnej wygody a utrapienia reszty podróżnych, na dwóch miejscach, zapytał mnie głosem tubalnym:

— A wie pan, co się stało w Krynicy?

— Powstała dziura w niebie, albo rząd wyasygnował 100.000 koron na inwestycye zdrojowe.

— Gorzej panie łaskawy, gorzej – odparł wygodny jegomość — jakiś właściciel wsi z Wołynia przemienił się w agenta handlowego ze Lwowa.

— Niech mu to wyjdzie na zdrowie.

— Wątpię bardzo — mówił wygodny jegomość — dostał podobno po „facyacie". Ale mniejsza o niego. Zniknął z horyzontu, natomiast pozostały dwie panny, srodze skompromitowane, walczyły bowiem zawzięcie o zdobycie jego serca i wsi. Opuściły także Krynicę, ale „blamaż" pozostanie im na całe życie.

— Tak źle nie jest. Pozostanie im tylko zbawienna nauczka. Zresztą podobne rzeczy zdarzają się u nas po zdrojowiskach i uzdrowiskach każdego roku. Rycerze przemysłu nigdy nie wyginą a naiwne panny i mamy tak samo.

Pociąg staje, a konduktor woła:

— Nowy Sącz!

Wybiegam na dworzec i spotykam kilku Krakowian.

— Co słychać w Krakowie? — zapytuję gorączkowo.

— Nic nowego — odpowiada melancholijnie Adaś — Banki jak dawniej protestują weksle, a ręczyciele powiadają, jakoby przysięgali przed ołtarzem, że nie będą już nadal za nikogo ręczyć. Nawet za ojca, gdyby „wstał z grobu". Podły świat.

Wypijamy w sali restauracyjnej po kieliszku wódki (dobra i tania), Adaś rzuca kilka dowcipów pannie bufetowej, poczem ja odjeżdżam do Stróż, on zaś czeka na pociąg do Orłowa. W Stróżach na werandzie piję kawę i obserwuję grono osób, siedzących przy sąsiednim stole. Śpiewają po lwowsku i rozmowę przeplatają gęsto wyrazami niemieckiemi. Obrzydliwy zwyczaj.

Jadę dalej ku Tarnowu, a stamtąd pospiesznym do Lwowa, gdzie staję o godzinie pół do trzeciej rano. Po 17 prawie latach odwiedzam poraz pierwszy stolicę „Galicyi i Głodomeryi", jak się wyrażał ś. p. Lam. Nie ma co mówić: Lwów zmienił się, jak mówią panny, na „awantaż". Stał się europejskim, nie przeczę temu, ale niestety zatrzymał dużo cech prowincyonalnych. Fiakry napastują przechodnia, ofiarując mu brudne dorożki i chude jak szkielety konie; żydki zapraszają do „hotelego", a kiedy odmówisz, sypią się odwieczne dowcipy brukowe w żargonie lwowskim. Dzieje się tak nawet na pryncypalnych ulicach.

Ale ma Lwów także swoje zalety. Przedewszystkiem jest patryotyczny i ofiarny, a także ma więcej odwagi cywilnej niż Kraków. *Suum cuique*. Krakowianin często milczy w chwilach, gdy Lwowianin wybucha z siłą żywiołową. Uznać to należy i podnieść. Zapytanie, które miasto jest piękniejsze, Lwów czy Kraków? Każde z nich ma swoje piękności, swoje cechy charakterystyczne, swoje wady i zalety. Ja wolę Kraków, ale w imię bezstronności dodaję, że ś. p. Lam wolał Lwów, a Krakowowi ciągle przypinał jakąś łatkę. Zresztą o Lwowie nie chcę pisać dlatego, że „Nowości Illutrowane" posiadają osobną kronikę lwowską, a więc są co do stolicy Galicyi jak najlepiej poinformowane.

Ze Lwowa zrobiłem, jak się tam wyrażają, *abstechera* do Lubienia, ażeby odwiedzić chorego kolegę. Urocza miejscowość, która tylko dlatego nie jest europejską, że nie obdziera swoich gości. Tanio, czysto, spokojnie. Oby tak pozostało jak najdłużej. Lekarz zdrojowy, dr. Wernicki, z poświęceniem pielęgnuje wszystkich swoich chorych, bez względu na ich stanowisko. Staje pierwszy do pracy, ustępuje zaś na ostatku. Chorzy poświęcenie to oceniają i otaczają dra Wernickiego szacunkiem.

Wracając z Lubienia drogą na Lwów, zwiedziłem dokładnie dworzec kolejowy we Lwowie, słuchając z zajęciem uwag oprowadzającego mnie technika. Nie będę powtarzać tych uwag, nie będę również wspominać o prawdziwych, czy też tylko rzekomych wadach tego dworca, ale mówię otwarcie, że gmach ten jest chlubą kolei państwowych w Galicyi. Kiedy Kraków doczeka się podobnego dworca? Obecny dworzec krakowski, własność kolei północnej, jest wobec dworca lwowskiego poprostu „budą" i przynosi ujmę Krakowowi, ujmę niezasłużoną, ale tem bardziej przykrą. Kolej północna, pragnąc jak najwyżej wyśróbować tantyemy, zaniedbuje się coraz więcej, a o linię, znajdującą się na przestrzeni Galicyi, wcale się nie troszczy. Kolej północna z pewnością nie obdarzy Krakowa nowym dworcem, który stanie może dopiero po latach, gdy wreszcie kolej ta zostanie upaństwowioną.

Powróciłem znowu w góry, gdzie piszę niniejszą kronikę, ażeby znowu pchać taczkę żywota. I tak mi się teraz wydaje, że lepiej było wcale nie brać urlopu. Człowiek nie miałby teraz miny studenta wobec rozpoczynającej się nauki. Ale podobno wszyscy tak mówią, a mimo to, o ile możności jak najczęściej starają się o urlop. Ciągłe pragnienie zmiany i wypoczynku i ciągłe złudzenia... aż do śmierci.

Oho! — złapałem się na sentymentaliźmie! Rzecz to nudna i niepopłatna. Żądacie od kronikarza czegoś innego, zajmującego. Otrzymacie rzeczy zajmujące z całego świata w najbliższej kronice, gdy stanę już na gruncie krakowskim.

Kącik humorystyczny.

Siła przyzwyczajenia.

Komornik (na zaręczynach córki):

— Szanowni państwo! Mam zaszczyt podać do wiadomości, iż córka zaręczyła się dziś z panem Alfredem po raz pierwszy, drugi, trzeci i ostatni!

Okropne.

— Jedzenie było świetne, wino wspaniałe, żal tylko, wielki żal pysznego apetytu, który przy tem straciłem.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

9 (Ciąg dalszy).

Głos jego, gdy to mówił, brzmiał jakoś dziwnie nieprzyjaźnie i Helena strwożona, nie tak jego oświadczeniem, jak akcentem, umilkła, ale postanowiła najbliższego dnia rozmówić się w tej sprawie ze swoim opiekunem. Ale doktor Harras, którego zapewne familia już wprzód musiała poinformować o zamiarze Helenki, sam pierwszy wszczął z nią rozmowę w tej materyi i w zwykły swój słodki, dobrotliwy sposób starał się odwieźć ją od tego kroku. Gdy jednak Helena oświadczyła mu, że nie odstąpi od swego zamiaru, bo w ojczyźnie swego ojca umrzeć wprost może z żalu i tęsknoty, odrazu zmienił ton i stanowczym głosem powiedział, że nigdy nie pozwoli jej na takie głupie, dziecinne zachcianki, zwłaszcza, że tutaj, w gronie rodziny jest w czuły i troskliwy sposób podejmowana, podczas gdy w Ameryce bez majątku z swoją urodą mogłaby zejść na złe drogi.

Helena ze zdumieniem wysłuchała tego oświadczenia. Duma i poczucie wolności Amerykanki wzbudziły się w jej duszy, więc też wprost powiedziała opiekunowi, że wyjedzie, bo jej nikt niema prawa tu zatrzymywać. Wówczas doktor Harras spojrzał na nią z utajonym gniewem i rzekł surowo:

— Dobrowolnie, czy nie, poddasz się pani mojej, bo za mną stoi prawo. Więcej nie będę już nawet mówić w tej sprawie!...

Wtedy to dopiero biedne dziewczę zrozumiało, że kochani krewni pragną ją delikatnie uwięzić, przykuć do swojej taczki i że mają w tem jakiś plan ukryty, którego ona nie zna. Z kolei kuzyn Cezar robił zabiegi o jej łaski, ale Helenka przeważnie, gdy tylko mogła, uciekała od niego i z całej familii największe zaufanie miała do Albertyny, która nigdy nie stroiła się w maskę obłudy.

Albertyna, mimo swego sarkastycznego usposobienia i swej skłoności do uszczypliwych dowcipów, była jeszcze najbardziej uczciwą i otwartą, choć ta otwartość nieraz się dała dobrze we znaki biednej sierocie.

I tak pewnego razu, powróciwszy od jakiejś przyjaciółki, wpadła do pokoju Heleny w płaszczu i kapeluszu, aby podzielić się z nią nową wiadomością.

— Ach! moja droga! — zawołała zaraz w progu — żebyś ty wiedziała, jaką świeżą plotkę teraz w kurs puszczono! Wyobraź sobie, opowiadano mi, że twój ojciec przed odjazdem do Ameryki, uwiódł tu jakąś biedną dziewczynę, który naturalnie sto razy przysięgał, że się z nią ożeni. Po jego wyjeździe ta biedaczka ze wstydu i żalu utopiła się w rzece! Ale też plotkarki ułyszały odemnie słowa prawdy, bo któż widział opowiadać takie historye, których tysiące dzieją się na tym świecie, a w dodatku po tylu latach robić z nich kwestyę zbrodni stanu. Boże!... co tobie jest, Helciu?!... czegoś tak pobladła?!...

Helena, którą nowy, całkiem niespodziewany cios uderzył w serce, dała jej tylko znak dłonią, żeby nic nie mówiła, a po chwili, przyszedłszy do siebie, słabym głosem poprosiła ją o chwilę samotności.

Albertyna opuściła pokój, nie przeczuwając nawet, że była przyczyną tej chwilowej niedyspozycyi kuzynki, a gdy wyszła, biedna sierota zamknęła za nią drzwi na klucz i po krótkiej walce, wyjęła ze stolika papier listowy i kopertę.

„Mój ty drogi przyjacielu! — pisała szybko.— Gdyśmy się przed paru tygodniami żegnali i gdy z męską stanowczością oświadczyłeś, że mnie kochasz, nie byłam w stanie dać ci odpowiedzi, ale łzy moje zbyt dobrze chyba zastąpiły słowa. Poznałeś wówczas, że ja ci płacę wzajemnością. W dziecinnych naszych latach już drogi byłeś memu sercu, ale wówczas niedoświadczone takie, jak ja, dziecko, uważało to tylko za przyjaźń. Opuściłeś potem nasze miasto, udając się na studya, a mnie żal ogarnął przy twym wyjeździe, żal, który uważałam za żal po przyjacielu. Kilka lat nie widzieliśmy się ze sobą; ja dorastałam, ale z pamięci dziecka nie wykreśliły twego obrazu wrażenia dorastającej panienki. A potem, gdyś powrócił, ożyły jeszcze silniej przy pierwszem naszem spotkaniu, gdy własne życie ofiarowałeś, by ocalić życie całkiem nieznajomego ci człowieka. Przypadkiem nadeszłam, gdy pożar ogarnął trzypiętrowy dom w ulicy Crowning. Widziałam, jak na poddaszu siwobrody starzec błagał o ratunek, widziałam, jak ludzie osłupieli stali z załamanemi rękoma i widziałam, jak ty pospieszyłeś mu z pomocą. Serce mi biło, gdyś wdrapywał się po gzymsach domu, lęk mnie przejął, gdyś zniknął w płomieniach, a modlitwa błagalna popłynęła z mej piersi w niebo, gdy wraz z ocalonym, choć ranny i poparzony, stanąłeś znów na ulicy. I wtedy to poznałam, że cię kocham!... Wtedy już — chociaż między nami nie było jeszcze nigdy mowy o miłości! I gdybyś już wówczas był oświadczył się ojcu o moją rękę, byłabym dziś twoją żoną. Ale ty, powodowany słusznie zrozumianą męską dumą, póty nie chciałeś wspominać przed ojcem o naszem małżeństwie, póki nie zdobędziesz sobie odpowiedniego stanowiska, chociaż wiesz chyba zbyt dobrze, że ja do wygód i niewygódek nie przywiązywałam nigdy wagi i z tobą w najskromniejszych warunkach byłabym była szczęśliwą. Ale zanadto jestem Amerykanką, żeby cię nie pojąć. Nie chciałeś pieniędzy mego ojca i marzeniem twem było, byś sam usłał nam gniazdko. Dlatego też przyjęłam twoje oświadczenie, że raz wyrzeczonem słowem nie chcesz mnie krępować i że od mej woli zależy, czy zaczekam na ciebie. Przyrzekliśmy też wprawdzie sobie, że listy ograniczymy tylko do podania wzajemnych wiadomości o sobie, ale...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

I.

Niezwykłe spotkanie.

Co za pustka! Od samego rana do późnego wieczora wieje silny wiatr północny. Z drzew zmiótł wszystkie suche liście, tylko sosna się zieleni. Góry wydają się blade i smutne, obnażony las budzi strach w duszy.

W samotnej dolinie stoi klasztor, otoczony napół zapadłym parkanem. Po słupach jego wije się bluszcz i ochrania go od zupełnego upadku.

Dwa drewniane pnie, pokryte jeszcze korą, tworzą wejście. Słomiany dach domu zupełnie się zapadł. Weranda z łodyg bambusowych zniszczyła się; ciężko stąpać po niej jest niebezpiecznie.

Rynna z trzciny bambusowej służy do przeprowadzania wilgoci z gór, lecz woda zamarzła i pada oddzielnemi kroplami.

Na kalendarz nie zwracają tutaj uwagi. Kiedy kwitną śliwy — to wiosna, kiedy śnieg pada — zima. W dzień dochodzą z lasu uderzenia topora drwala, w nocy — wycie małp. Nie rozlega się ani dźwięk dzwonu, ani pianie koguta.

Jest to miejsce osamotnione; dobrze tu jest żyć dwojgu zakochanym, lecz t en, kto zapragnąłby osiąść tutaj samotnie, musiałby się wyrzec miłości i rozkoszy.

Pewnego wieczora, kiedy słońce skryło się już za drzewami klasztoru, i dochodził odgłos dzwonu, wzywający na modlitwę, do budynku podeszła mniszka, w kapeluszu o szerokich skrzydłach i zastukała w drzwi; dzwonienie umilkło, i kobieta w zakonnych szatach ukazała się na progu.

— Czego sobie życzysz? — zapytała nieznajomej.

Słowem, drżącem od chłodu, podróżna odpowiedziała:

— Jestem mniszką wędrującą. Nie znam tych gór, zabłądziłam i jestem bardzo zmęczona; dlatego proszę, pozwól mi tutaj przenocować; proszę, wybacz mi, żem przerwała twoje rozmyślania.

Mniszka z klasztoru odrzekła:

— Jak widzisz, jest to dom ponury; nie mam oddzielnej pościeli, lecz jeśli sobie życzysz, wejdź.

Podróżna rękami skostniałemi od zimna zdjęła kapelusz, umyła nogi ciepłą wodą, którą jej gospodyni podała i weszła do klasztoru.

Gospodyni wskazała podróżnej miejsce przy ognisku i złożyły sobie wzajemnie zwykłe liczne ukłony.

Gospodyni zaparzyła herbatę i dorzuciła słomy ryżowej do ognia, by gość się ogrzał.

Płomień ożywił się; gospodyni mogła teraz przyjrzeć się twarzy przybyłej. Gdyby przebywała jeszcze w świecie, zazdrość targnęłaby jej sercem, tak piękny był jej gość.

Gospodyni nie miała więcej nad lat dwadzieścia dwa, a podróżna wydawała się jeszcze młodszą o jakie dwa lata. Jaka młoda, ładna, pełna wdzięku i już zakonnicą! Z jakim smutkiem przebiera ona różaniec! Łzy ukazały się w oczach gospodyni i mimowoli zadumała się ona nad swym własnym losem, lecz ukrywszy wzruszenie, poczęła poprawiać ogień pogrzebaczem.

Podróżna także przyglądała się gospodyni i ona również wydawała się jej za ładną i za młodą na mniszkę.

„Los jej musi być podobnym do mego — pomyślała. — Cóż doświadczyła ona w życiu? Być może, losy nasze są podobne?"

Nie znalazła jednak żadnego odpowiedniego powodu, by zacząć wypytywać gospodynię. Rozmawiały o krętych górskich ścieżkach, o nazwach rzek, o wielkości świątyni, o wczorajszym mrozie. Wkrótce gotowa była prosta zupa i obie posiliły się.

Po wieczerzy mniszki znowu pogawędziły o różnych rzeczach.

— Pewnie jesteś zmęczona — rzekła w końcu gospodyni. — Czy nie zechciałabyś położyć się?

Przy tych słowach rozpostarła papierowy namiot, podobny do siatki na moskity i służący do ochrony od chłodu.

Podróżna położyła się. Było już późno. W mieście zegar wydzwonił dwunastą godzinę, lecz w tem pustelniczem ustroniu rozlegało się tylko wycie wichru, krzyki sów, które mocno czepiają się gałęzi sosen, by je burza nie rzuciła w dół, złowrożbne głosy wilków i szelest liści, unoszących się w ogrodzie i uderzających o drzwi. Wszystko to było tak niemiłe i straszne, że podróżna wkrótce się przebudziła.

Podniosła oczy i spojrzała na gospodynię, leżącą obok. Jak strasznie jest tam za ścianami, a w dodatku tak zimno! Zamknęła znowu oczy, lecz serce jej biło silnie i nie mogła zasnąć; przy uchu jej rozlegało się słabe chrapanie.

Koło posłania stała przyćmiona lampa; przy świetle jej zauważyła ona list, przytwierdzony do namiotu.

Sen odbiegał ją; uniosła nieco głowę i zaczęła czytać; widać był to list, zostawiony gospodyni przez jej męża.

„Kilka słów na pamiątkę.

„Pomyśl, idę na pole walki, nie należę już do życia. Zwycięstwo i porażka w rękach losu. Być może, nie sądzono mi jest stracić życie, być może wrócę zwycięzcą. Lecz dla sławy nadszedł taki czas, jaki bywa rzadko. Nie śmiem przepuścić takiej okoliczności, będę odważnie walczył za Damjo, mego pana. Pozostawię po sobie sławę bohatera.

„Pan mój pomógł naszej miłości i ożenił nas. Winniśmy mu wdzięczność; niestety, drudzy pozazdrościli naszemu szczęściu. Był to sen.

„Pragnąłem żyć z Tobą razem do późnej starości, lecz los osądził inaczej.

„Od ślubu naszego upłynęło dwanaście dni, krótkie pożycie! Gdybym wcześniej wiedział, że będę musiał teraz rozstać się z Tobą, nie bacząc na twoją piękność, nie uczyniłbym tego. Dzięki naszemu nieszczęsnemu małżeństwu, przyczyniłem tobie wiele smutku.

„Jeżeli jutro dojdzie Cię wieść o mojej śmierci, nie trudź się! Oto, o co Cię błagam: nie chcę, abyś dla zbawienia mej duszy obcinała włosy i wdziała suknie zakonne. Byłoby to szaleństwem!

„Rycerz winien złożyć panu swemu w ofierze i dom swój i życie swoje. Taki jest obowiązek rycerza; wierność jest chlubą rodziny, więc pragnę podtrzymać nasz honor. Umrę, nie drgnąwszy.

„Wdzięczny Ci będę, jeśli czasem wspomnisz mnie i pomodlisz się za mnie.

„Tyś jeszcze młoda, możesz powtórnie wstąpić w związek małżeński. Za dziesięć tysięcy lat spotkamy się w królestwie zagrobowem. Tylko to jedno życzenie pozostało mi. Nie sprzeciwiaj się temu, co mówię; jeśli nie poddasz się mej woli, na wieki będę z tobą rozłączony. Do listu tego doręczam dokument rozwodowy, abyś mogła postąpić według swej woli.

„Na twoje potrzeby życiowe złożyłem w torebkę skórzaną pięćdziesiąt złotych. Od pana naszego dostałem zapas wonnego drzewa do palenia. Dotychczas przechowywałem je, lecz jedną połowę wonności spaliłem w moim hełmie, drugą — pozostawiam ci na pamiątkę.

„Teraz kończę list, gdyż już czas iść, chociaż mógłbym powiedzieć wiele.

Dla Wakaby".

Ciąg dalszy nastąpi.

Wyobraźnia aktorki.

Już podczas trzeciego aktu „Fredegondy“ aktorka Kornelia Tosti kazała spuścić kurtynę.

Nie zrobiła tego z powodu zemdlenia, albo ataku nerwowego, ale dlatego, ponieważ czuła się znużoną, śmiertelnie znużoną, ponieważ nogi odmawiały jej posłuszeństwa a głosu nie mogła z krtani wydobyć — krótko mówiąc, ponieważ miała pięćdziesiąt lat i nie mogła już grać dalej.

Wróciwszy do domu, nie miała już siły zdjąć z siebie kostyumu teatralnego. Siedziała samotna w swym nadzwyczajnie gotycko umeblowanym pokoju i jakby zadumana wpatrywała się w olbrzymie lustro, odbijające w sobie twarz strasznie chorej Fredegondy, o dwóch ciężkich (fałszywych) wspaniałych, jasnych warkoczach.

I nagle porwała ją bezgraniczna rozpacz.

Długo łkała, wpatrując się w lustro.

Dniało już, gdy zawsze jeszcze (ubrana w swą suknię z czasów Merowingów, rzuciła się w poprzek swego łóżka, podczas gdy jeden z jej warkoczy zwisał na skórę tygrysią, zastępującą dywan przed łóżkiem.

Następnego dnia lekarz po raz setny oświadczył jej, że musi na zawsze rozstać się ze sceną.

Wolno jej zaledwie raz jeden wystąpić w ostatniej roli, w „Melisandrze“, dramacie, który napisał dla niej sławny dramaturg Eusebio Nasone.

Tym razem Kornelia uwierzyła lekarzowi.

Tryumfalne pochody po stolicach Europy, Ameryki i Azyi — młodzieńcy wyprzęgający konie z jej powozu, różane listki, pokrywające gęstą purpurą fale morskie w porcie Stokholmskim, gdy ona w swej barce wspaniałej dążyła na okręt — entuzyaści, czyniący z paltotów swych dywan pod jej stopy u wyjścia z teatru — upojenie dwunastu z rzędu wywołaniami — grzmoty oklasków — drogie reklamy i wywiady, pełne szału, cudowne, bajeczne życie — z wszystkiem tem rozstać się musi.

I rozstać się musi z tem, co było jej rozkoszą najtajniejszą i najwyższą: z radością urzeczywistniania najpiękniejszych wizyi poetów, dawania im duszy i ciała, odczuwania w sobie ich życia.

Za kilka lat, za kilka miesięcy może, Kornelia Tosti zginie z pamięci ludzkiej.

Przychodziły jej na myśl te wszystkie stare aktorki, które były niemniej sławne jak ona, a o których nikt już nie pamięta, o których się już nie mówi, które dziś nie są już niczem więcej, jak tylko staremi, otyłemi damami, pieszczącemi swe koty i papugi, wśród małych ogródków na florenckich przedmieściach.

Zapaść się nagle w nicość, gdy się było królową — więcej niż królową.

Nie!

Śmierć lepsza, niż ten śmieszny upadek!

Tak! Umrzeć! Jak bohaterka dramatu, która nie chce przeżyć swego marzenia i po upadku swego państwa sama sobie odbiera życie, by nie stać się niewolnicą zwycięzcy!

Bo jej obraz zjawiał się w wyobraźni Kornelii, nie inaczej, jak w otoczeniu całego scenicznego aparatu.

Śmierć nie była w jej pojęciu niczem innem, jak tylko efektem scenicznym, niezawodnym efektem piątego aktu.

. . . .

Pewnego wieczora, siedząc w salonie swego pałacu, pełnym posążków Buddy i najrozmaitszych drobiazgów najdziwaczniejszych, zebranych we wszystkich pięciu częściach świata, w tym salonie, kędy po wyścielonych dywanami kątach, na miękkich sofach wysiadywali młodzi literaci — Kornelia rzekła pewnego wieczora swym cichym, zmęczonym, śpiewnym głosem:

— Czy wierzycie w przeczucia?... Ja w nie wierzę... Mówi mi przeczucie, że podczas pierwszego przedstawienia „Melisandry“ umrę na scenie...

I tajemniczo dorzuciła:

— Jestem tego pewna. Słyszycie? Jestem tego pewna.

Następnego dnia te słowa wielkiej aktorki pojawiły się we wszystkich florenckich dziennikach.

Ciekawość i napięcie, z którem oczekiwano pierwszego przedstawienia „Melisandry“ wzmogły się tem jeszcze bardziej.

Próby dramatu zaczęły się.

Mimo wielkiego osłabienia, Kornelia przymusiła się do gorliwej pracy na scenie i ostatnim wysiłkiem woli, napięciem wszystkich sił swoich trzymała się na nogach, chociaż całe ciało drżało, a wszystko wirowało przed jej oczyma.

Bohaterka dramatu, zagadkowa, przynosząca zgubę mężczyznom kobieta, odbiera sobie życie, spełniwszy mnóstwo zbrodni. Truje się i umiera na scenie.

Zdaniem „Kuryera teatralnego“ moment tej śmierci stanowić będzie punkt kulminacyjny dramatu, przewyższać będzie tragiczną swą przedśmiertną grozą sławną przedśmiertną walkę Crocetty w „Sfinksie“ i agonię wielkiego Monetty w „Ernanim“.

Kilka dni przed pierwszem przedstawieniem, Kornelia wyjęła z jednej z swych szkatułek, dziwnego kształtu flakon, mały, wydrążony w cudnie rzeźbionym szmaragdzie, podarowany jej ongi przez jakiegoś indyjskiego rajaha.

Potem w obecności młodych literatów, leżących i siedzących na miękkich sofach w jej salonie, zdjęła ze ściany wiązkę zatrutych strzał, wiszących obok innych trofeów indyjskich i broni.

Zawołała swą starą gospodynię i garderobianę Giuseppe, która od trzydziestu lat razem z nią wędrowała po całym świecie. Podała starej strzały i flakon i rzekła jej:

— Włożysz groty tych strzał na kilka dni do wody — ale wody weź bardzo mało; kilka kropel wystarczy — potem wodę tę wlejesz do tego flakonu i podasz mi na scenę podczas pierwszego aktu przedstawienia „Melisandry“.

— Dobrze, proszę pani!

Giuseppa ani drgnęła.

— Przysięgnij mi na Chrystusa, że wykonasz wszystko, com ci kazała.

— Przysięgam!

— Na Chrystusa?

— Na Chrystusa!

Młodzi literaci uśmiechali się.

— Zobaczycie!

Mówiąc to Kornelia uczyniła tak tragiczny ruch głową, że młodzi ludzie zmięszali się zupełnie.

Czyż można było przewidzieć, do czego ona jest zdolną?

Na pierwszem przedstawieniu „Melisandry“ Kornelia grała wspaniale, cudownie.

Złamanym głosem i zniszczonem ciałem umiała wywołać efekty nadzwyczajne, wprost niebywałe. Cała Florencya, z początku sceptyczna, wstrzemięźliwa i nieufna — podziwia przecież Kornelię od tylu lat — dała się raz jeszcze porwać wielkiej aktorce i uczyniła jej wspaniałą owacyę. Oklaski były frenetyczne. Zapał był olbrzymi. Ból z powodu bliskiego rozstania się na zawsze, przejawiał się w nieskończonych salwach oklasków.

Ale też gra aktorki miała w sobie tak potężne akcenty prawdy, że widzów brał lęk i przeczucie jakiejś katastrofy.

Wiedziano, że bohaterka sztuki umiera w ostatnim akcie. Co też Kornelia uczyni, aby w tym kulminacyjnym momencie utrzymać się na wyżynie pierwszych aktów?

Oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego przygniatało tysiące serc niewidzialnym, nieznośnym ciężarem.

Podczas ostatniego antraktu Kornelia blada siedziała w swej garderobie.

Obok masy kwiatów, przepełniających niewielki pokoik, twarz jej wydawała się jeszcze bledszą.

Gdy odezwał się pierwszy dzwonek, pożegnała tłum wyfraczonych, prawiących komplementa wielbicieli słowami dźwięczącymi resztką czystego ongi jak kryształ głosu:

— Żegnam was, moi przyjaciele!

I kazała im odejść.

A potem otworzyła okno, wychodzące na jedną z najciemniejszych uliczek miasta.

Wciągała w siebie głęboko chłodne, przesiąkłe wonią czosnku i nędzy, powietrze nocy i odezwała się wreszcie cicho, zmęczenie:

— Żegnam cię, Florencyo!

A potem zwróciła się do Giuseppy:

— Flakon!

Giuseppa podała flakon, nie mówiąc ani słowa. Kornelia rzekła:

— A teraz przychodzi śmierć!

I wyszła na scenę.

Wprost nadludzko grała, wzdychała, jęczała w tym piątym akcie, w którym Melisandra zdemaskowana upada, a wszystkie jej zbrodnie zwracają się przeciw niej samej. Jedyną jej ucieczką jest śmierć.

W tejże chwili Kornelia wyjęła flakon z za gorsu dekoltowanej sukni.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie wiedziała ona wcale, że trucizna, którą zatrute były strzały — jeżeli wogóle były zatrute — działać może tylko wtedy, gdy dostanie się do organizmu, do krwi, wskutek rany zewnętrznej. Ale natomiast przekonana była stanowczo, że Giuseppa nie wykonała jej rozkazu i wlała tylko do flakonu kilka kropel czystej wody.

A jednak!...

Zaledwie wypiła zawartość flakonu... padła na podłogę, jakby piorunem rażona, pozieleniała, a członki jej drgały tak, jak w przedśmiertnej agonii, tak, jak tego nigdy nikt nie zdoła sztucznie naśladować.

Nie była w stanie wypowiedzieć ostatnich słów swej roli i dwaj koledzy musieli ją wynieść aż za kulisy.

Śmierć tak niewątpliwie przelewała się w jej oczach, że publiczność zerwała się z miejsc pełna lęku, przerażona...

I nikt nie wątpił, że Kornelia otruła się rzeczywiście i dobrowolnie.

Nikt nie wątpił, nawet Giuseppe.

Giuseppe sama wlała do flakonu czystej wody. A jednak, gdy wyniesiono za kulisy ciało jej pani, rzuciła się na nie, krzycząc i wrzeszcząc, jak zresztą wszyscy:

— Otruła się! Zapowiedziała to przecież!

Przez dwa tygodnie Kornelia wyobrażała sobie, że walczy z śmiercią.

Przez dwa tygodnie wszystkie dzienniki Europy podawały biuletyny o jej zdrowiu.

A lekarze wymieniali reporterom nazwę trucizny i jej właściwości i skutki tej trucizny, której Kornelia nie zażyła nigdy.

W pół roku po premierze „Melisandry“, po ostatnim swym pożegnalnym występie, w pół roku po otruciu, Kornelia odmłodzona i zdrowsza niż kiedykolwiek, wystąpiła znowu na scenie florenckiego teatru.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Ułożył dr. W. D.

Pierwszego szukaj w greckim alfabecie,
Drugie na nutach polskich znajdziecie,
Oznacza także naród dawny, liczny.
Całość – to częsty tytuł satyryczny
Nieświadomego spólnika zabronionej spółki,
Lecz może znaczyć także rodzaj bułki.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznacza redakcya wspaniale ilustrowaną książkę Wł. Bełzy p. t.: **„W ojczyźnie bohatera“.**

Rozwiązania z Nru 28.

Rebus: Dobre lub złe imię – oto wszystko, co pozostawiamy po sobie na ziemi.

Szarada: Jekaterynosław.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: A. Klappholz Sucha, B. Ramułtowa Jeżów, J. Gawenda Słotwina, K. Dögler Monasterzyska. ks. M. Sztyrak Złoczów, S. Waśniewski Kosów, J. Rottermund Szaflary, J. Tabor Lwów, M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Peczeniżyn, St. Ciechanowski Stary Sambor, Dr. Wł. Dalbor Lwów, Z. Dobrowolska Borszczów, A. Kotowicz Lwów, R. Żabka Biała, S. Samueli Limanowa, M. Cetera Dubiecko, A. Knapińska Kraków, J. Talaga Stale p. Tarnobrzeg, J. Szwaja Jedlicze, A. St. Bassara Niwiska, K. Kuszpeciński Kraków, M. Kołączkowska Szczawnica, J. Badura Rożdzień, B. Byszewski Kraków, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Habermann Mikulińce, M. Rożański Nowy Sącz, J. Remiszewski Załawie, ks. J Halkiewicz Chodowice, Pp. Fiałkiewiczowie Sądowa Wisznia, W. Kamiański Sokal, E. Nowak Wysoczanka, H. Dydacka Żurawno, Stadnik Grabiny, J. Biegoń Ślemień, A. Góralski Białobożnica, St. Szwabowicz Żurawno, Al. Najkowski Łańcut, J. Wróbel Łękawica, H. Mokrzycka Turbia, T. Domain Sanok, W. Hałdziński Lichwin, J. Kobylański Honiatycze, L. Maruszczak Jezierzany.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Kamiański w Sokalu. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Apteka Fort. Gralewskiego w Krakowie, ul. Szczepańska 1 -- poleca następujące wyroby własne:

Petrogen „Jahra" wyśmienity środek do konserwowania włosów, usuwa łupież i swąd z głowy, wzmacnia cebulki włosowe i zapobiega wypadaniu. — **Cena** flakonu koron **2** i **4**.

„Jahra" Kali chloricum pasta do zębów, wybiela zęby, desinfekcyonuje i konserwuje jamę ustną. Tuba 80 hal.

„Jahra" Antyseptyczna woda do ust, znakomita woda do utrzymania zdrowych zębów i do płukania ust. Flakon koron 1·20.

„Jahra" Wata Mentoformolowa wyśmienity środek przy katarach nosa. — Pudełko 40 hal

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem **za pomocą gorącego powietrza** odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości **po cenach bardzo przystępnych.**

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14

= opłatnie. =

Pierwsza Krakowska elektro-mechaniczna PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Oryginalne SINGERA



Należy uważać na markę fabryczną

Maszyny do szycia

Singer Co. Tow. akcyjne maszyn do szycia.

Na wystawie światowej w St. Louis (Stan Zjednoczone) otrzymały

Oryginalne Singera maszyny do szycia

za niezrównaną wielostronność w wykonaniu robót najwyższe odznaczenia:

Siedm „Grand Prix"

Siedm złotych medali

Singer Comp. Towarzystwo akc. Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ul. Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi:
Tarnów: ul. Wałowa 13.
Rzeszów: Trzeciego Maja 5.
Nowy Sącz: ul. Jagiellońska.
Chrzanów: Mickiewicza.

Filie na Śląsku austr.:
Bielsko: ul. Kolejowa 2a.
Freiwaldau: Rudolfsplatz 170.
Cieszyn: ul. Stefanii 38.
Opawa: Speergasse 5.

OZDOBA DLA KAŻDEGO POKOJU!

Tylko krótki czas!



Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8000 dywanów ścien. i 11.000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wysłać wspaniały

Dywan ścienny szelkowy

obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 cm. szeroki. 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy, rodziny renie, łabędź, paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać **= po złr. 2·50 =** Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nie przedostaje.

Dotychczas niebywałe ceny.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 70 ct. sztuka

PIERWSZY MORAWSKI EKSPORTOWY DOM TOWAROWY

JULIUS HOITASCH, GODING Nr. 120 (Morawy).

Setki podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie. — — — Nieodpowiednie zostaną bez trudności przyjęte z powrotem pieniądze zwrócone.

Singera maszyny do szycia

znakomitej jakości, sprzedaje z 5-letnią gwarancyą na wypłat w małych ratach

NIEMETZ I SP.

w Krakowie, ul. Szewska 2 (pierwszy dom od Rynku). Przyjmuje wszelkie naprawy. Ceny niskie.

WĘGIERSKA RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami itp. b. tanio.**

Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych

Haupt A. Rudolf, Budapest VII. Ovodagasse 22.

Kart widokowych

z każdej miejscowości podług fotografii, rysunku, dla p. p. księgarzy, kupców, Kółek rolniczych, dostarcza w artyst. wykonaniu, szybko i taniej niż w Niemczech

Henryk Frist, Kraków

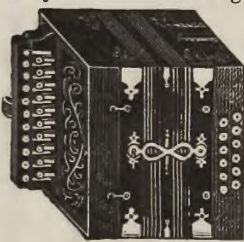
właśc. konces. przez c. k. Namiestnictwo Salonu artystycznego.

Wincenty Kucharski krawiec męski

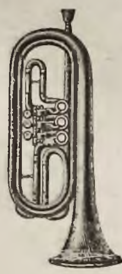
Kraków Lenartowicza 6.

11 10-30

Proszę żądać darmo i franco mój nowy bogato illustrowany cennik

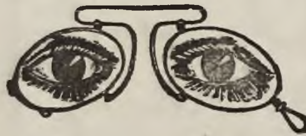


instrumentów muzycznych wszelkiego rodzaju.



Józef Püchner fabryka instr. muzycznych **Bielsko,** (Śląsk austr.)

30 procent oszczędzi każdy na binoklach, okularach i t. d., kupując je u firmy:



T. ARMATYS

optyk i mechanik

Kraków, ul. Grodzka l. 6.

P. P. c. k. Urzędnikom, Akademikom i Studentom **jeszcze 10% opustu.** 1-?

„ARS" Salon sprzedaży rzeźb i obrazów artystów polskich, otwarty codziennie w **dnie powszednie** od 10 do 1-szej zrana i od 2 do 4 po południu.

Ul. Bracka 5, na parterze.

Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato ilustr. cennik, zawierający 1000 rysunków dobrych i tanich zegarków, przedmiotów złotych i srebrnych

HANNS KONRAD

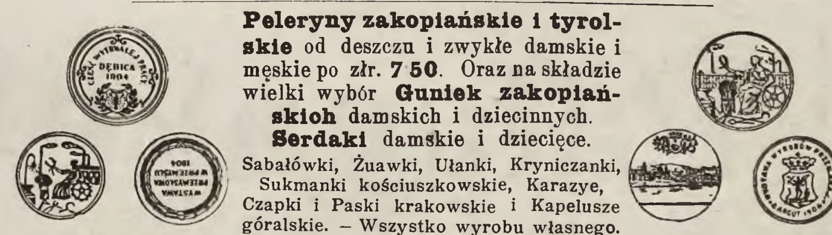
PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW

w BRÜX Nr. 786 (Czechy).

Prawdziwy niklowy zegarek anker rem. syst. Roskopf patent w skórkow. futerale wraz z łańcuszkiem złr. 2·50. Nikl. budzik złr. 1·50, 3 szt. złr. 4. Żadne ryzyko. Zmiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie roku 1901.

Filia w Krynicy pod białą różą.



Peleryny zakopiańskie i tyrolskie od deszczu i zwykłe damskie i męskie po złr. 7·50. Oraz na składzie wielki wybór **Guniek zakopiańskich** damskich i dziecinnych. **Serdaki** damskie i dziecięce. Sabałówki, Żuawki, Ułanki, Kryniczanki, Sukmanki kościuszkowskie, Karazye, Czapki i Paski krakowskie i Kapelusze góralskie. — Wszystko wyrobu własnego.

Wojciech Sznajdrowicz, Kraków, Rynek Linia A-B 45 nad Apteką pod „Białym orłem".

Filia w Krynicy pod białą różą.

Nakładem Wydawn. Salonu Malarzy polskich wyszedł

Cykl historycznych obrazów na pocztówkach

Floryana Cynka, prof. Akad. sztuk pięknych w Krakowie. Cena Kor. 1·— Za nadesłan. K 1·20 wysyła franko

Henryk Frist, Kraków Floryańska l. 37.

SALON KOSMETYCZNY PRZY UL. BISKUPIEJ L. 14

poleca najlepsze aparaty i preparaty do pielęgnowania twarzy, włosów, rąk i palców. Wszelkie środki są zbadane i polecone przez Dra **Lustra**, specyalistę kosmetyki lekarskiej w Krakowie.

Panowie i Panie

wszystkich stanów, mogą wszędzie jako dochód uboczny do **300 Kor.** miesięcznie zarobić, przez zastępstwa, zajęcie pisarskie, ręczne roboty, wskazywanie adresów i t. p. Bliższa wiadomość pod **M. 14** przez firmę: **Karol Wörfel, Nürnberg**, Austrasse 76.

Założona w r. 1863

PIERWSZA KRAJOWA PAROWA FARBIARNIA i PRALNIA CHEMICZNA

J. LANGIERSKA (PRZEDTEM MIEDING)

we LWOWIE czyści chemicznie apretuje i farbuje

wszelkie materye jedwabne i wełniane, nieprute i prute ubiory męskie, szkolne damskie i dziecinne, oniformy oraz futra, pióra strusie itp.

KANTORY PRZYJĘCIA:

LWÓW ul. Jagiellońska 20
" Akademicka 26
KRAKÓW plac WW. Świętych 8
STANISŁAWÓW Sobieskiego 13

PRACOWNIA w domu własnym ul. Janowska l. 38 a.

Wykonanie szybkie i dokładne.

Cenniki na żądanie bezpłatnie.

Przesyłki z prowincyi załatwia się do 10 dni.

Nowe senzacyjne dzieło

pod tytułem:

Wilhelm II.

Henry W. Fishera

zakazane w Niemczech! wyszło nakładem Księgarni

Stefana Kavki w Krakowie

Cena 3 Kor.



Przedtem wyszły w tej Księgarni

dwie senzacyjne książki zakazane w Niemczech:

Patacake Wielki Król

świetna satyra
na jednego z panujących

Cena 3 Kor.

A. SCHNITZLER:

REJ

książka europejskiej sławy. Cena 3 kor.

Do nabycia w każdej księgarni lub wprost w księgarni nakładowej w Krakowie.

URZĄDZENIA **ŚWIATŁA ELEKTRYCZNEGO**





i przeprowadzenia prądu
dla przeniesienia siły
podejmuje się firma:

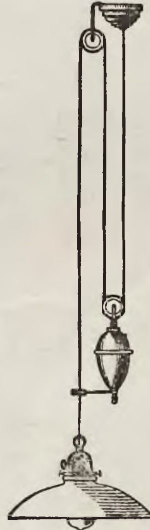
LIBMANN I MACHAUF

SKŁAD PRZYBOROW TECHNICZNYCH

KRAKÓW, UL. LUBICZ 7
(NAPRZECIW DWORCA KOLEJOWEGO)

TELEFON L. 360





Na składzie utrzymujemy elektromotory, wszelkie przybory do światła elektrycznego jakoteż

ŚWIECZNIKI

w różnych stylach i do różnych celów.
Kosztorysy udzielamy bezpłatnie.

Rządowo uprawniona

FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.
i specyalnych leczniczych, pod firmą

K. RZĄCA I CHMURSKI

w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.

Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak. polecone przez toż Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież specyalne lecznicze, jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.

LEON GAŁEK

MAGAZYN I PRACOWNIA WYBOROWEGO OBUWIA

KRAKÓW BRACKA L.6.

7 10-22

Fabryka wyrobów wełnianych w Kętach, założona 1867 r.

Firmy: F. & E. Zajączek i Lankosz

poleca: **sukna**, **sieraczki**, najmodniejsze **kamgarny i korty** wyrobu własnego oraz oryginalne angielskie. **koce, derki**, **filce dywanowe, flanele wstąpione**, **wełnę** do watowania i wszelkie **podszewki.**

Składy: we **Lwowie**, ulica Teatralna l. 3,
w **Krakowie**. Rynek gł. 44, linia A-B dla sprzedaży hurtownej i drobiazgowej.

„PENSION NOUVELLE“

poleca pokoje umeblowane, każdy z osobnem wejściem, z całem utrzymaniem lub bez, dla osób przejezdnych i stałych mieszkańców, po cenach przystępnych.

ULICA ZACISZE L. 5, II. PIĘTRO, SCHODY NA PRAWO.

Na sezon obecny polecamy P.T. cyklistom znakomite rowery i koła motorowe słynnej marki:

„PUCH RAD“

firmy: JAN PUCH
PIERWSZE STYRYJSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE FARRYKI ROWERÓW W GRACU.

Na składzie utrzymujemy również **rowery** fabryki:

„METEOR“

jakoteż wszelkie przybory rowerowe w wielkim wyborze.



Libmann i Machauf
Kraków, ul. Lubicz 7.

Zbiór archeologiczny
(z czasów przedhistorycznych)
do nabycia:

35 sztuk urn popielnicami zwanych, ozdoby bronzowe oraz żelazne w ilości 20 sztuk, narzędzia krzemienne jak: okrzeski (noże), groty do strzał, igły, szydła oraz przedmioty służące do niewiadomego użytku. Informacyi udziela właściciel zbioru

Alfred Dworski w Rudniku.

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów
z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2
róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

---

5 Kor. i więcej dziennego zarobku!

Towarzystwo robotników domowych robienia pończoch.



Poszukiwani mężczyźni i kobiety do robienia pończoch na naszej maszynie. Prosta i szybka robota przez cały rok w domu.

Niepotrzebna żadna poprzednia znajomość. Odległość nie wpływa bynajmniej, a my sprzedajemy roboty wykonane.

Thos. H. Whittick & C., Prag, Petersplatz 7, I. – 281.

„Nowości ilustrowane“ są wszędzie do nabycia.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.

Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14

PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD KRAWIECKI NA ZAMOWIENIA
Związek handl: przemysłowy KATOLICKICH KRAWCÓW

Ubrania na zamówienia od 20 złr.

Ubrania gotowe od 10 złr. | wyrób
Fraki, surduty od 20 złr. | krajowy

Kraków, ul. Floryańska 7 tuż przy Rynku.
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 14

NAJGUSTOWNIEJSZE UBRANIA NA ZAMÓWIENIA WYRABIA.

Związek katolickich Krawców.

INSTALACYE i BLACHARSTWO
wodociągi, ogrzewania, gazowe oświetlenia
wykonuje fachowo, praktycznie i tanio, konc. firma:
Julian Tokar, Kraków, św. Jana 10 (Grand Hotel)

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato
illustrowany cennik
Instrumentów muzycznych
oraz różnych
ZABAWEK





A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

Kolibry . . . od 1—2 złr.
Papużki małe od 1·50—3 „
Papużki średnie od 4·50—7 „
Papugi duże . od 10—25 „
Papugi duże mówiące od 28 „
Kanarki herceńskie od 6 „

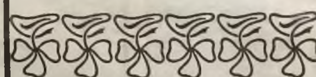
Rasowe psy
u K. Waltera L. 31
ulica Sławkowska
przy plantach w Krakowie.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50
poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze **2 par złr. 4·75.** Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez
Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKÓW, GRODZKA 31.
Nieodpowiednie zam... się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego
Kraków, ul. Grodzka 31. – Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. – Filie w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29

Lodownie pokojowe,
Lodownice amerykańskie,
Formy na lody,
Siatki druciane od much,
Żelazka do prasow. na spirytus
poleca
Tom. Górecki, Kraków.



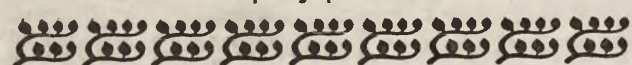
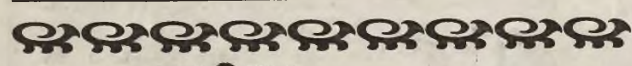
Na żądanie wysyłam wielki **CENNIK** illustrow. **zegarów,** wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.
F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

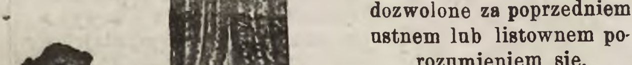


UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator“
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:
Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.
Prenumerata wynosi: rocznie 12 K. półr. 6 K, kwart. 3 K.
Pojedynczy numer 50 hal.
Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Niema więcej cierpień rupturowych
dokładne i szczególne objaśnienia
(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)
przesyła bandażysta: S. Mittelmann
Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.

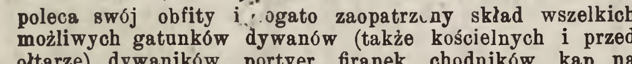
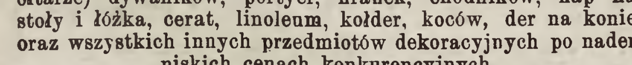
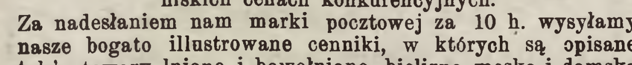
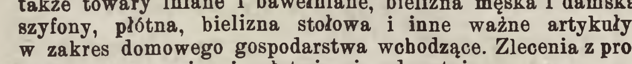
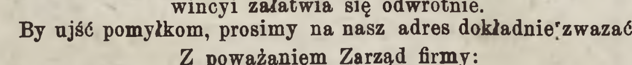
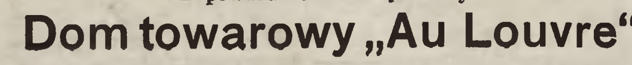
Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich
Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

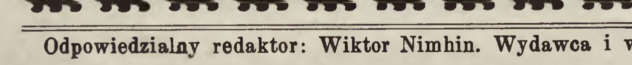
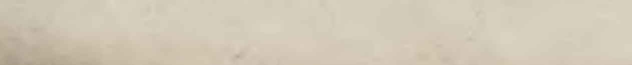









Spłaty częściowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.
Bezsprzecznie największy wybór!
Renomowana i powszechnie znana firma
Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)
poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.
Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.
Z poważaniem Zarząd firmy:
Dom towarowy „Au Louvre“
Lwów, Sykstuska 6.

BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!
może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiałą szkołę. Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych
A. Scheuer
w Krakowie
ul. Grodzka 59/6.
Bogato illustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.


Nr. 134.


Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

HELENA SZYMAŃSKA
egzaminowana akuszerka
i masarzystka wyjechała z Krakowa na sezon letni do Trenczyna (Węgry), dnia 10 czerwca br.
Dziękując za dotychczasową pamięć, polecam się i nadal łaskawym Paniom.

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.